XXV rok istnienia

CENA NINIEJSZEGO NUMERU 1 ZŁ. 40 GR.

ROK XXV

ŚWIAT

NR. 22

WARSZAWA, DNIA 31-go MAJA 1930 ROKU

Wydawcy: Akc. Tow. Wydawnicze „ŚWIAT". Pod kierownictwem naczelnem STEFANA KRZYWOSZEWSKIEGO

O konieczności zmiany ordynacji wyborczej do Sejmu i Senatu

Znany obywatel ziemi Kieleckiej, p. Paweł Popiel, nadsyła nam interesujące uwagi o aktualnej dziś sprawie ordynacji wyborczej do Sejmu i Senatu. Wszczęcie dyskusji w tej sprawie pierwszorzędnego państwowego znaczenia wydaje nam się ze wszech miar pożytecznem, bo — jak już dawno powiedziano — „z wymiany zdań wyłania się prawda".

Według wszelkiego prawdopodobieństwa, czekają nas zapewne niezadługo nowe wybory do Sejmu i Senatu. Wewnętrzne położenie kraju, a także zewnętrzne mocarstwowe stanowisko Polski — zależy w wysokim stopniu od personalnych wartości posłów, którzy winni się kierować, bez względu na różnice poglądów stronnictw, do jakich należą — jedynie patrjotyczną myślą pracy dla dobra Ojczyzny!

Okazało się dostatecznie już chyba, że zasady obecnej ordynacji wyborczej wpłynęły na taki skład sejmu, taką różnorodność elementów poselskich i takie rozpięcie skali stopnia wykształcenia i poziomu umysłowego posłów, iż nie do pomyślenia jest, by na barki Sejmu można było złożyć ciężar kierowania nawą państwową.

Najliberalniejsze w całym świecie zasady i przepisy wyborcze wydają się być zbyt wcześnie stosowane w kraju, gdzie ogół ludności skutkiem 150 lat niewoli nie ma dostatecznego wyrobienia politycznego i prawnego, zwłaszcza wśród ludności wiejskiej, posiadającej wśród siebie poważny procent analfabetów.

Jaka ordynacja wyborcza, takie wybory; jakie wybory — tacy posłowie; jacy posłowie — takie ustawy, a jakie ustawy — takie nasze marne wegetowanie, urozmaicone nadużyciami, krzywdami i zbyt wielkiem a celowem obciążeniem podatkowem przemysłu i większej własności rolnej. Podczas wyborów wolność zdania osobistego wyborców powinna być w najwyższym stopniu szanowana i zabezpieczona, skądkolwiek by nacisk pochodził — silniejszy wpływ ze strony władz wywołuje słuszne niezadowolenie, a często skutek odwrotny do zamierzonego. Unieważnienia wyborów przez Sądy, zresztą zbyt opóźnione, świadczą, że nie było, z takiej lub innej przyczyny, normalnej swobody przy oddawaniu głosów. Jeżeli obecna ordynacja wyborcza nie będzie zmieniona, to jasnem jest, że wybory przyniosą za sobą znaczne zróżnicowanie mandatów poselskich poszczególnych stronnictw.

Wszyscy wiemy, że przy panującem ogólnem niezadowoleniu, wobec strasznego kryzysu ekonomicznego nie zabraknie materjału do agitacji. Domyślamy się poważnych powiększeń liczby posłów w niektórych stronnictwach, a natomiast zmniejszenia w innych. Kropki nad i — kłaść nie będziemy. Po takim składzie Sejmu, jaki w tym razie przewidujemy, przybliży się zapewne moment — dyktatury — która w tych krajach europejskich, gdzie była wprowadzona, nie przy-

niosła tego „uspokojenia", po jakiem dopiero obiecywane są „reformy". Dyktatura jeszcze zwiększy niepokój i zamęt i wkrótce znów będzie musiała ustąpić systemowi konstytucyjno - parlamentarnemu, ostatecznie jedynie właściwemu, o ile on się liczy ze swoistemi właściwościami kraju i ludności.

Włoski faszyzm jest czemś zupełnie odrębnem, na czele jego stoi człowiek wyjątkowy, z niewzruszonym konsekwentnym planem działania i zdumiewającą szerokością horyzontów myśli, zapalający południowe temperamenta spadkobierców Latynów ideą światowego rzymskiego „imperjum". — Tradycyjną wiekową ideą wielkości — gdy Rzym był panem świata! My jesteśmy skromniejsi.

Główną przyczyną, że w Polsce źle się dzieje, jest obowiązująca dotąd ordynacja wyborcza. To jest grzech pierworodny, który musi być zmazany, dusząca atmosfera musi być oczyszczona! Szuka się środków ratunku, bo nań już wielki czas, a ponieważ „cogito ergo sum", więc to, co następuje, to nie są oczywiście nieomylne wskazówki, to są myśli, które położenie rzeczy i zawrotny bieg ich nasuwa, z któremi piszący, jako obywatel kraju, ośmiela się podzielić z obywatelami - czytelnikami.

Zmiany w ordynacji wyborczej, według mego przekonania, winny się oprzeć na następujących zasadach:

1. Zmniejszenie ilości posłów do Sejmu i Senatu do połowy, co w niczem nie wpłynie na procentowe ugrupowanie się stronnictw — a nie będzie tego, że „co głowa, to rozum", bo rzeczywistość nie zawsze odpowiada temu przysłowiu.

2. Obniżenie djet poselskich do połowy, co zadziwiająco ostudzi zapał i zmniejszy podaż kandydatów, a przyczyni się poważnie do obniżenia wydatków państwowych, w tym wypadku całkowicie nieprodukcyjnych.

3. Zniesienie nietykalności i nieodpowiedzialności posłów — na który to krok już jedno stronnictwo, w myśli zdrowej sanacji i podniesienia dostojeństwa Sejmu, odważyło się.

4. Kandydat na posła do Sejmu musi mieć co najmniej 25 lat wieku i bezwzględne ukończenie szkoły średniej.

5. Kandydat na posła do Senatu musi mieć conajmniej 35 lat wieku i bezwzględne ukończenie jednej ze szkół wyższych. Przez cenzus wieku i nauk przekonania polityczne posłów nie ulegną zmianie, ale poziom umysłowy zgromadzenia ustawodawczego tak się podniesie, że da gwarancję poważnego niezawiłego zdania, ułatwi pracę w komisjach, zmieni dotychczasowy ton i powagę przemówień publicznych.

6. Zniesienie głosowania na listy wyborcze, a natomiast wprowadzenie głosowania na osoby. Korzyści wynikające z tak zmienionego sposobu głosowania, choćby przez samo wyrwanie ze zrozumiałej dotąd skutkiem głosowania na listy — obojętności i apatji, są tak widoczne, zaś wyniki głosowania na listy tak sztuczne, nieoczekiwane i ujemne, że szkoda nad tym punktem więcej słów tracić.

7. Nakoniec projekt zmiany najbardziej niepopularnej — atoli z głębokiego przekonania piszącego pochodzący, a mianowicie — usunięcie kobiet od głosowania! Gdyby można obmyśleć jakiś prekluzyjny cenzus naukowy dla kobiet inteligentnych — nie śmiem się już wyrazić umysłowy (bo i tak wiem, co mnie czeka), byłoby niewątpliwie sprawiedliwie i korzystnie, by myślące i wykształcone kobiety miały prawo głosowania; dla prawników ujęcie odpowiednie techniczne tego problemu nie powinno by sprawić trudności. Natomiast znajduje się w naszym kraju olbrzymia ilość kobiet z niższych sfer społecznych, zwłaszcza ze stanu włościańskiego i małomiasteczkowego, nie mających pojęcia o zagadnieniach, zadaniach i potrzebach państwowych — a ze względu na psychologję kobiecą, tak różną od męskiej, zupełnie nieobliczalnych, które przeważnie nie głosują samodzielnie, ale zależnie od wpływów miejscowej agitacji, a często wbrew żywotnym interesom swego stanu. Jeżeli tak znaczna ilość obywateli państwa, znajdujących się w stałej, lub czasowej służbie wojskowej, ustawowo nie bierze udziału w głosowaniu, co może ma swoje dobre, ale i niektóre złe strony, to równie dobrze, a zapewne jeszcze lepiej będziemy się mogli obyć bez głosowania politycznie nieuświadomionych kobiet, a z usposobienia swego naturalnego przeważnie zbyt „impulsywnych", — które mają tyle innych ważniejszych zadań społeczno - rodzinnych do spełnienia, do jakich zostały stworzone i przeznaczone, a w których są nie do zastąpienia.

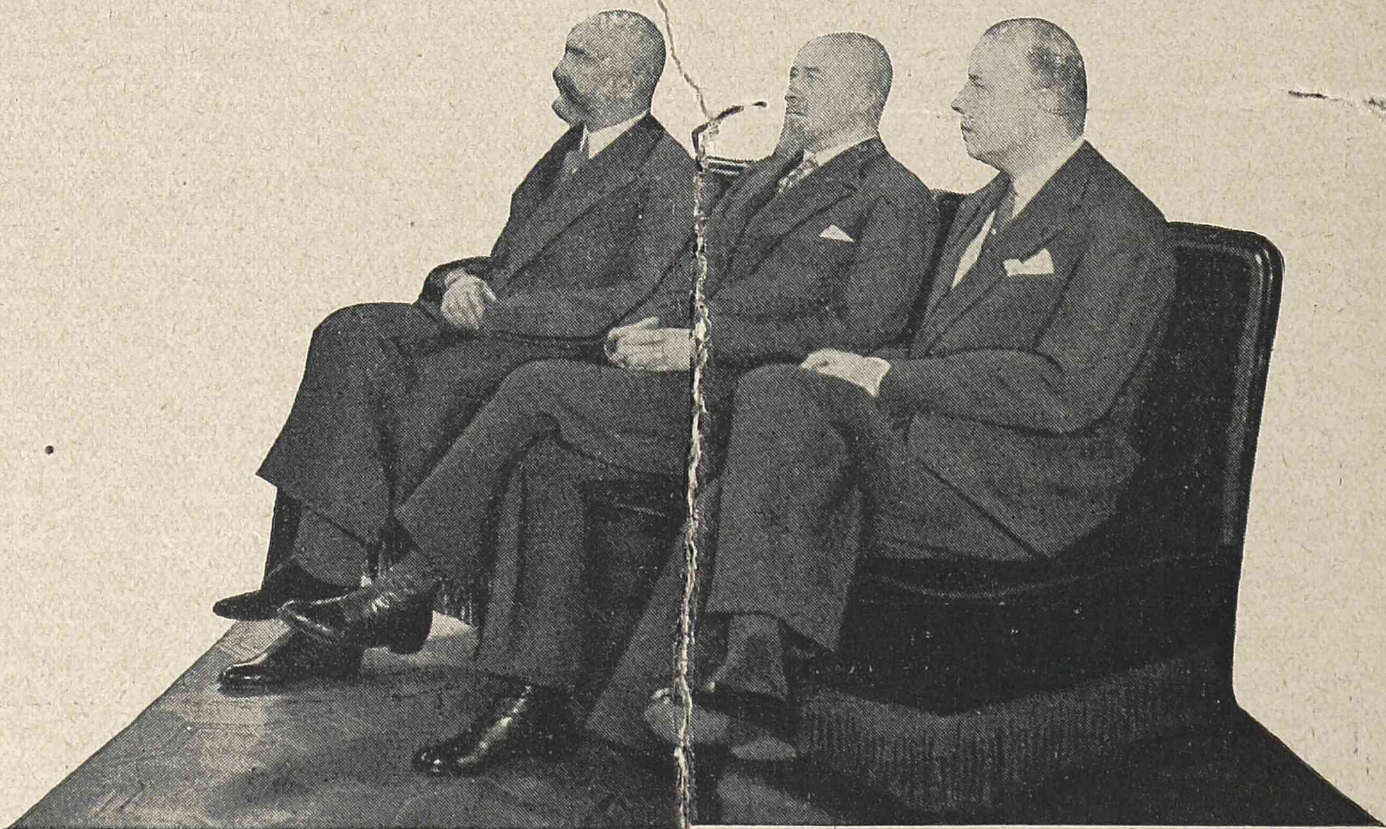
Pomyślne dla mnie potwierdzenia oceny wartości głosów i głosowania kobiet znajduję w słowach St. Estreichera, pomieszczonych w jego artykule w Nr. 91 „Czasu" z dnia 19.IV. b. r. Pisze on: „Pierwsze i drugie wybory do Sejmu i Senatu poprzedziła gorączkowa agitacja, zwłaszcza wśród kobiet. Przeważając swą liczbą nad mężczyznami, okazały się one pierwszorzędnym objektem dla wszelkiej agitacji. Jako wyborcze hyjeny — tego słowa użył o politykujących kobietach pierwszy Schiller — były kobiety równocześnie pierwszorzędnym przedmiotem agitacji".

Na zakończenie wyrażę nadzieję, że takie lub inne zmiany ordynacji wyborczej zapewnią naszemu Państwu już w najbliższej przyszłości spokojną, twórczą i patrjotyczną pracę!

Paweł Popiel

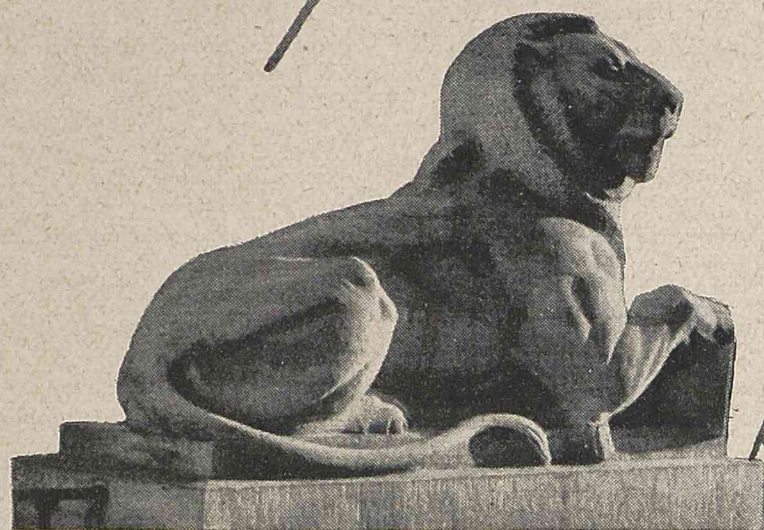
Kurozwęki.

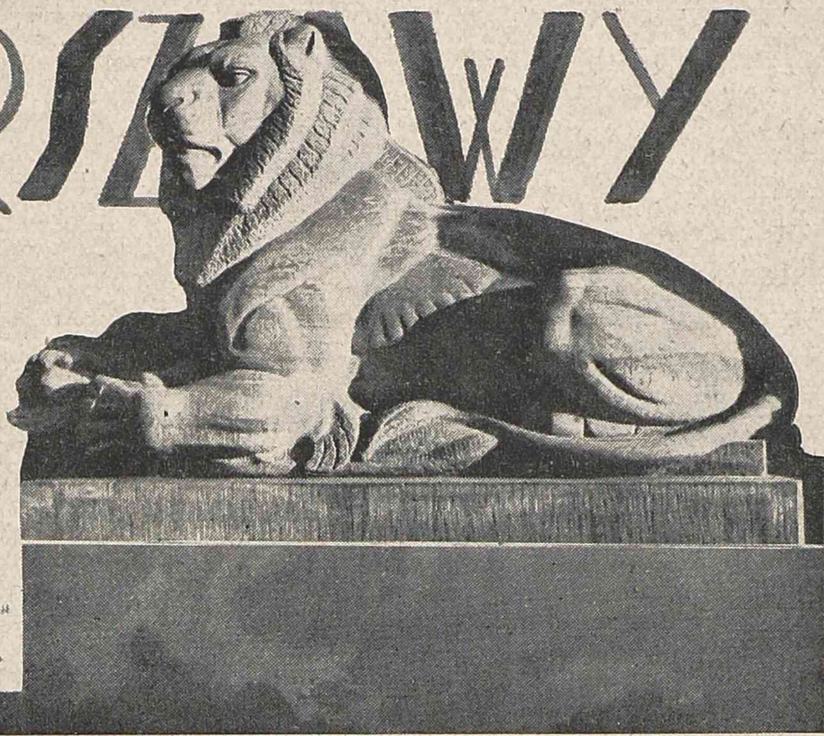
KONFERENCJA TRZECH MINISTRÓW



Prezes min. pułk. Walery Sławek, min. pracy A. Prystor i min. sprawiedliwości St. Car konferują nad sprawami rządowemi

PIĘKNO WARSZAWY





ANKIETA „ŚWIATA"

Prof. Tadeusz Tołwiński

Twórca wielkiego gmachu Muzeum Narodowego w Warszawie, gimn. Batorego na Szczęśliwieckiej, szeregu gmachów szkolnych dyrekcji tramwajów i sz. inn. Z urbanistycznych prac i projektów wymienić trzeba plany prof. Tołwińskiego dla Lwowa, Kalisza, a przedewszystkiem Warszawy.

— Za najbardziej dojrzały w architekturze, tak wewnątrz, jak zewnątrz — mówi nam prof. Tołwiński — uważam pałac Krasińskich, zabytek z XVII w., doskonale zachowany, a przytem bez zarzutu odrestaurowany przez prof. Świerczyńskiego (rzeźby zaś przez St. Biernackiego).

Pałac ten, jeden z niewielu w Warszawie, posiada idealne otoczenie, chociaż zarówno plac, jak i ogród zostały nieco zniekształcone. Uważam, że jest to jeden z najlepiej zachowanych i najcenniejszych zabytków w Polsce. Niewielkim nakładem dałoby się doprowadzić jego otoczenie do b. dobrej formy drogą przekształcenia ogrodu, powrócenia do form dawnych, i drogą właściwego urządze-

Ankieta wzbudziła we mnie nowe zainteresowanie: podczas treningu lotniczego nad Warszawą obserwuję różnice pomiędzy starą a nową Warszawą.

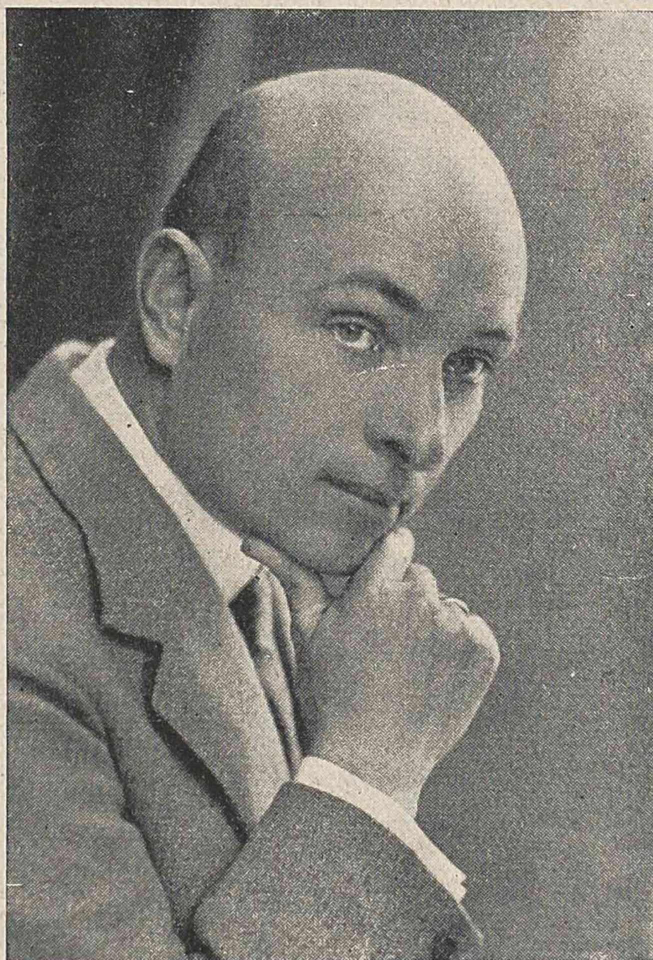
Ale dotąd nic bardzo godnego uwagi nie zanotowałem. Będę obserwował i zastanawiał się dalej i, jeżeli na jaki „dowcip" wpadnę, nie omieszkam się podzielić z bliźnimi!

Jerzy Sosnkowski

Młody, utalentowany inżynier - architekt, błyskotliwy feljetonista, zapytany, jaki zabytek w Warszawie uważa za najpiękniejszy, odparł:

— Za najpiękniejszy zabytek architektonicznemi starego Miasta, z drugiej zaś — całym szeregiem gmachów monumentalnych, rozciągających się od Zamku aż po Belweder. Stoki te z czasem mogą być jeszcze dobrze zabudowane, tworząc ogniwo architektoniczne między śródmieściem Warszawy a Wisłą.

Nawiązując do zamierzeń architektonicznych Zarządu miasta, należy podkreślić projekt przeprowadzenia nowej, wielkiej arterji, sięgającej od pomnika Kopernika



PROF. TADEUSZ TOŁWIŃSKI

poprzez wspomniane stoki aż do wzgórza Ujazdowskiego.

— Pytanie najdrażliwsze: co pan sądzi o architekturze modernistycznej w Warszawie?

— Nie może być, uważam, architektury modernistycznej, może być mowa tylko o architekturze danej epoki, danego czasu. Jeżeli architektura danej epoki całkowicie wyraża jej charakter, to przez to samo już jest dobra. Brak charakteru w budynku, tak, jak brak charakteru w każdem dziele sztuki, jest karygodny sam przez się. Architektura ujmuje plastycznie w sposób najbardziej syntetyczny całe życie duchowe danej epoki. Jeżeli epokę dzisiejszą cechuje pewna chaotyczność w życiu intelektualnem, uczuciowem, politycznem, to odzwierciadla się to w pewnych dysharmonjach architektury. Jednolity charakter i jednolita wielka forma architektoniczna krystalizuje się powoli i zaczątki tego krystalizowania się już dziś widzimy. Tak jak architektura pewnych epok ubiegłych była wyrazicielką idei religijnych (średniowiecze), wielkich idei państwowych (XVII i XVIII w.), tak architektura nowoczesna musi się stać wyrazicielką epoki techniki, przemysłu i wielkich organizacyj społecznych. Sztuczny nawrót do form epok dawnych nie jest możliwy.

Jedną z przeszkód w szybkiem krystalizowaniu się nowych kształtów architektury, dających wyraz życiu współczesnemu, jest pewien konserwatyzm opinji publicznej, urobiony na przykładach najbardziej bezdusznych, eklektycznych dzieł z przed kilkudziesięciu lat. Jest rzeczą uderzającą, że pokolenie produkujące miljony samochodów, przelatujące nad Atlantykiem w aeroplanie, nie może odczuć i zrozumieć potrzeby nowej formy w meblu, mieszkaniu, domu, gmachu publicznym. Że człowiek, wychodzący z wagonu kolejowego i transatlantyckiego olbrzyma, wciąż jeszcze chce przebywać w domu i wnętrzu, składającem się z najbardziej nieudolnych kopji dzieł z czasów Ludwika XVI, Cesarstwa, czy mieszczańskiej architektury końca XIX wieku!

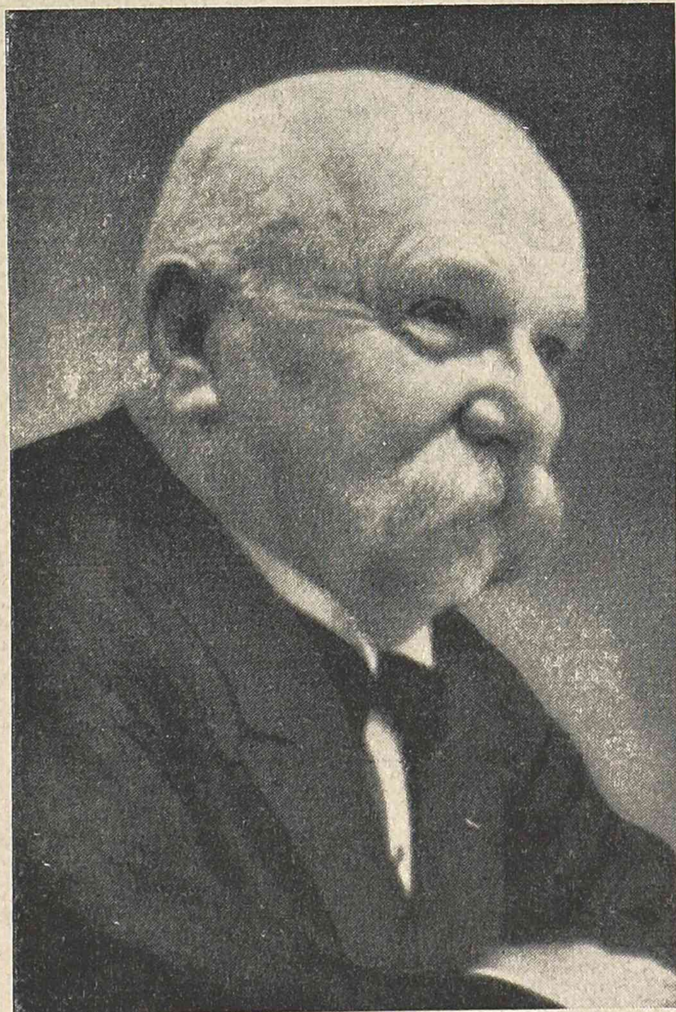


PAŁAC RZECZPOSPOLITEJ, DAWNIEJ KRASIŃSKICH

Fot. Photo-Plat

Stefan Szyller

Architekt di primo cartello! Architektura w Petersburskiej Akademji Sztuk Pięknych. Kończy ją arch. Szyller z wielkim złotym medalem i przywiązanem doń stypendjum na dalsze studja samodzielne zagranicą. Zwiedza całą Europę wszerz i wzdłuż, czyniąc szkice i zdjęcia pomiarowe z natury, a także projekty swoje, z których najważniejszy projekt pomnika Włoch Zjednoczonych. Szereg nagród i wystaw. W ciągu 48 lat, jakie mu upłynęły od czasu ukończenia Akademji, stworzył około 700 różnych prac architektonicznych: 150 kościołów, gmachów i budowli publicznych — 24! Fabryk 14! Domów mieszkalnych 150!



INŻ. STEFAN SZYLLER

— Za najpiękniejszy zabytek architektury w Warszawie — mówi nam p. Szyller — uważam pałac w Łazienkach, jest on bowiem dziełem, tworzącem najbardziej jednolitą całość, której nic dodać i nic ująć nie byłoby można bez jej naruszenia.

Wrażenie tej całości jest wynikiem umiejętnego ustosunkowania i wzajemnego podporządkowania ogólnych brył pałacu i ich szczegółów architektonicznych. Jest tu prostota z wdziękiem złączona, niema krzywdzących efektów form, przygłuszających inne, niema szczegółów, które nie służyłyby celowo do ich uwydatnienia. Wszystko tu łączy się w doskonałej harmonji ładu, tej zasadniczej podstawy piękna. Piękny jest pałac łazienkowski krasą polską... Dach pałacu łazienkowskiego wieńczy niewysoka nadbudówka, latarnia, przez którą przechodzi światło dzienne do centralnej, bezokiennej części parteru. W setkach pałaców, posiadających zasadniczy układ planu, podobny do łazienkowskiego, rolę takiej latarni na dachu spełniają wysokie oszklone wieżyczki, glorjety, kopułki i t. p. nadbudówki. Tutaj widzimy prosty, płaski sześcian, tworzący w swej sylwecie ogólnej zwieńczenie budynku, podobne do tego, jakie tworzy szeroki, kwadratowy, potężny komin na typowych dla polskiego budownictwa t. zw. „czworakach" kwadrotowych przy starodawnych polskich dworach i rezydencjach szlacheckich. Ta właśnie bryła budowlana jest tym oryginalnym motywem, który nadaje pałacowi typ odrębny.

Oczywiście, architekci cudzoziemscy, którzy stawiali pałac w Łazienkach, o polskim kominie nie myśleli; nie myślał z pewnością o nim, ani wogóle o typie architektury polskiej i król Stanisław, boć przecież dopiero w ostatnich lat dziesiątkach spostrzeżono, że ten typ istnieje. Był jednak widać jakiś sentyment dla tej formy u Króla, zżył się z nią i tak ją sobie upodobał, że nie raziła go swoją prostotą surową, że zdecydował się ukoronować nią ukochane dziecko swej fantazji architektonicznej. Przecież stojący w pobliżu pałacu t. zw. biały domek ma na dachu glorjetę z tej samej także formy poczętą...

Formy architektury, nawet za najoryginalniejsze poczytywane, zawsze z innych pochodzą. Niekażdy to spostrzega i niekażdy stworzyć je potrafi.

Są one wynikiem procesów myślowych i uczuć podświadomych, jakie nami władają, których przebłyski olśniewają artystę w chwilach natchnienia, źródła którego rzadko sobie uświadamia.

Prof. Tad. Pruszkowski

— Profesor na lotnisku!

Zatem siedzę i cierpliwie czekam.

Lotnisko mokotowskie. Słońce



pracy A. Prystor i min. sprawiedliwości sprawami rządowemi

praży. Patrzę w górę: czy nie ukaże się na widnokręgu awionetka znakomitego artysty-malarza.

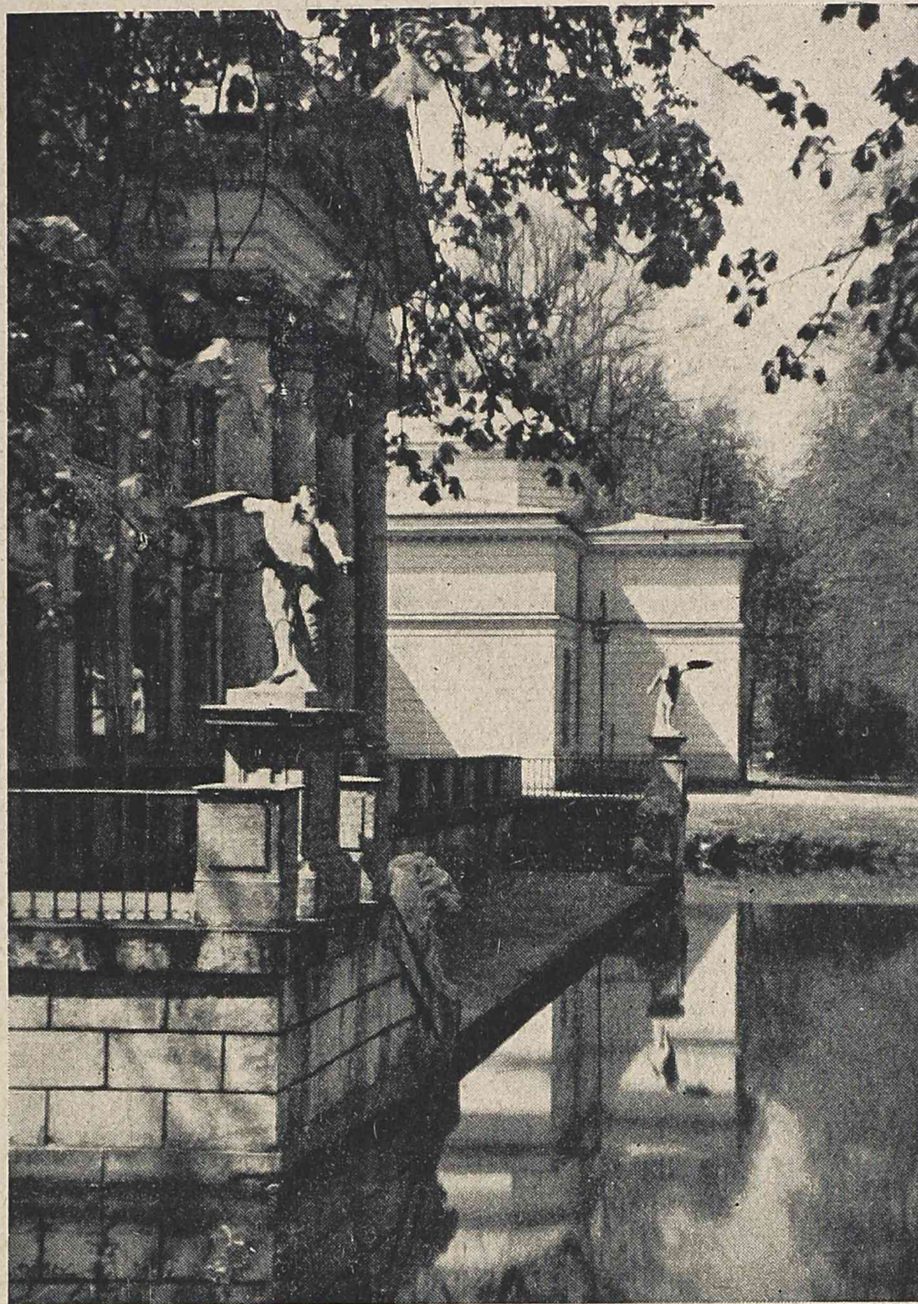
Brzęczenie, dudnienie, łoskot, błysk śmigła. Jest!

— Czycham tu na profesora z ankietą „Świata".

— ...Proszę mi wybaczyć moje szczere i głębokie przekonanie, że Warszawa nie posiada ani jednego architektonicznego zabytku, który pięknem lub tradycją wyróżniałby się z pośród innych o tyle, aby budził dreszcz wzruszenia swojem pięknem lub związanemi z nimi wspomieniami.

Lubię bardzo wnętrza Zamku park Łazienkowski i pałac na placu Saskim. Teatr Wielki.

Warszawę lubię bardzo, serdecznie jestem do niej przywiązany, tak np., jak się lubi i kocha starą, dobrą i brzydką ciocię, która nas wychowała i wykierowała na ludzi. Nie zmieniłbym Warszawy na żadne inne miasto na świecie, ale to są sentymenty tylko..



FRAGMENT PAŁACU ŁAZIENKOWSKIEGO W WARSZAWIE
Fot. Photo-Plat

Najpiękniejsze miejsce w Warszawie, to brzeg Wisły, jak się go widzi od strony Pragi. Z tego brzegu ludzie myślący mogliby zrobić niezwykle ładną rzecz.

— Ciekawiśmy, co pan profesor sądzi o tej nowej architekturze, która ma tylu wrogów i tylu apologetów i entuzjastów zarazem?

— Warszawę winniśmy uznać za miasto nowopowstające. Powinniśmy zapomnieć o wszelkim tradycjonalizmie i rozbudować ją w sensie zupełnie nowoczesnym.

Ankieta wzbudziła we mnie nowe zainteresowanie: podczas treningu lotniczego nad Warszawą obserwuję różnice pomiędzy starą a nową Warszawą.

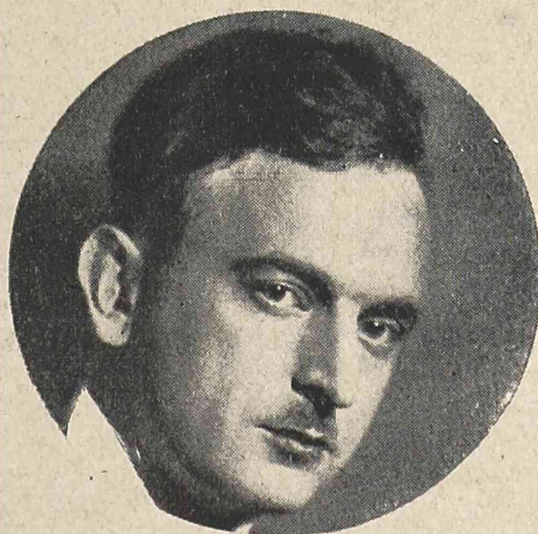
Ale dotąd nic bardzo godnego uwagi nie zanotowałem. Będę obserwował i zastanawiał się dalej i, jeżeli na jaki „dowcip" wpadnę, nie omieszkam się podzielić z bliźnimi!

Jerzy Sosnkowski

Młody, utalentowany inżynier - architekt, błyskotliwy feljetonista, zapytany, jaki zabytek w Warszawie uważa za najpiękniejszy, odparł:

— Za najpiękniejszy zabytek Warszawy uważam Łazienki, — a to dlatego, że *zewnętrzne i wewnętrzne* ich architektoniczne walory i cechy, — w sensie ducha i czystości stylu są najbardziej dociągnięte. Także ich wzajemny stosunek (zewn. i wewn. walorów) daje mocne pojęcie właściwej, harmonijnej zależności. Cechą dojrzałego dzieła jest zdolność obudzania pewnych stanów uczuciowych, właściwych epoce, stylowi, charakterom ludzi, którzy je tworzyli. Któż w pałacu łazienkowskim i jego otoczeniu nie czuje *pięknej myśli?*

Warszawa wogóle ma piekielnie mało „pięknych miejsc". Ładny jest rynek Starego Miasta — tuż przez wschodem słońca, kiedy pierwsze promieniste karminy sycą



JERZY SOSNKOWSKI, INŻ. ARCH.

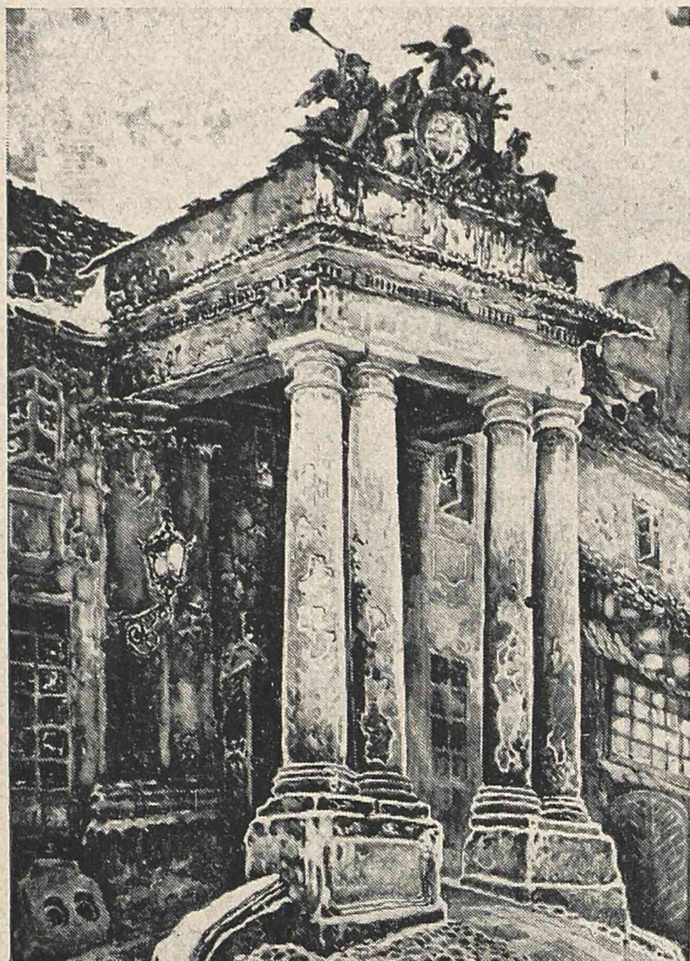
stare mury wesołym rumieńcem zdrowia.

Ładny jest Plac Teatralny wraz z ulicą Wierzbową, wieczorem, bo jedyny to fragment Warszawy o charakterze nowoczesnym i wielkomiejskim. Gdybyż tak wreszcie wyregulować i doprowadzić do porządku, pałacyk Blanka, ten śliczny rokokowy bibelocik, niesłusznie zapoznany? Na tacy Placu Teatralnego, uporządkowanego i zmodernizowanego, wyglądałby, — po inteligentnym remoncie, — rzeczywiście jak bibelocik ze staroświeckiej serwantki.

— Radzibyśmy też wiedzieć, co myśli pan, jako architekt, o zastosowaniu modernizmu, we współczesnem budownictwie Warszawy...

— Wogóle—nowoczesna architektura mnie osobiście ujmuje swoją swobodą i prostotą, brakiem komplikacji, co dla psychiki nowoczesnego człowieka, często zmęczonego tempem, rytmem i organizacją współczesności jest czemś czarującem. Architektura nowoczesna, to prosta, niewyszukana *rama*, którą całkowicie wypełnia sobą człowiek, tworząc dowolnie — dopełniające go formy. Architektura „ancien-regime'u" to cały obraz, instytucja, aparatura, gdzie człowiek mały i zagubiony błąkał się w tłumie form rytualnych, do których musiał się dopasować i nagiąć.

Zarzut, że architektura nowoczesna jest uboga, jałowa, sucha i nie stwarza możliwości artystycznych — został wymyślony przez niedołęgów. O wszystkiem decyduje człowiek, nie materjał. O nowoczesnej architekturze Warszawy trudno coś powiedzieć, — jest jej zbyt mało, jest też jeszcze dość nieśmiała, co wynika trochę z braku zrozumienia ze strony klijentów, trochę z braku odpowiednich środków na jej realizowanie w takiem natężeniu fakturalnem, jakiego wymaga. Pozatem Warszawa posiada sporo miejsc, w których wyzyskaćby można, z pełnym efektem, tę — o specyficznym posmaku harmonję, jaka wypływa ze zgrupowania się bezpośredniego modernizmu z zabytkami architektur klasycznych. Efekt taki „wyjdzie" naprzykład napewno przy regulacji placu Teatralnego, jeśli pozostawiony będzie pałacyk Blan-



BR. KOPCZYŃSKI: PAŁAC DYZMAŃSKICH

ka, przy nowoczesnem rozwiązaniu urbanistycznem samego placu i nowoczesnem ujęciu Ratusza. Będzie to efekt niezawodny i miły. Style klasyczne nie kłócą się wcale z modernizmem i jest to zrozumiałe, jeśli się nie zapomina, że „moderna" najbezpośredniejszy swój początek bierze właśnie z idei i założeń klasycznych.

Bronisław Kopczyński

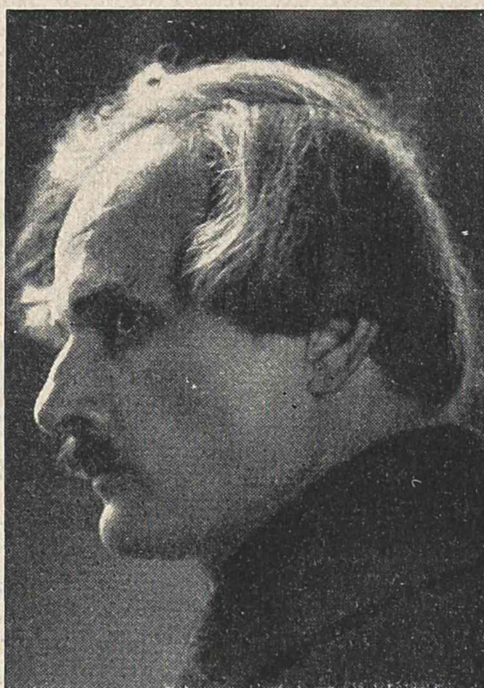
Skrzętny szperacz zakątków, ruin, fragmentów Warszawy. Pod jego mistrzowskim pędzlem zdają się nanowo odżywać i wzruszać obumarłe, zapleśniałe, kruszejące mury. Kopczyński to artysta, który potrafi wywołać w nas piękne doznania estetyczne, a równocześnie budzi zamiłowanie i przedziwny sentyment nawet do szarych truchlejących i podupadłych ruder. Artysta dopiero ukazuje nam ich piękno i uczy patrzeć na rzeczy codzienne, wielekroć oglądane — ale niewidziane...

Sławę zdobył Kopczyński *„Polską jesienią"*, wystawioną w Salonie po raz pierwszy w roku wojny, 1914. *„Nastrój staromiejski"* przynosi mu pierwszą nagrodę m. st. Warszawy (Salon, 1927). Za obraz p. t. *„Na gromniczną"* otrzymuje nagrodę prezesa Rady Ministrów (Salon, 1928), a za „Jutrznię" wielki srebrny medal (Salon, 1929).

— Trudno zdecydować się i wskazać najpiękniejszy zabytek w Warszawie dzisiejszej mnie, fanatykowi, którego wzrok miłośnie pieści każdy stary murek czy kamień... O ile łatwiej dałoby się to powiedzieć o każdem innem polskiem mieście. W Krakowie np. dominuje kościół Marjacki, we Lwowie — kaplica Boimów, w Lublinie Brama Krakowska i t. d.

Stara Warszawa zaś, z chwilą, kiedy ją z końcem XVIII i przez XIX wiek reformowały kilofy burzymurków, straciła te najcharakterystyczniejsze zabytki, które odrazu nadawały jej piętno starego grodu... Taki ratusz z Rynku, bramy: Krakowska i Nowomiejska, albo klasztor pp. Bernardynek... To, czem Warszawa dziś jeszcze zmusza miłośników do uwielbiania jej, są zakątki, fragmenty, szczegóły, a jest ich taka mnogość, że kiedy w r. 1916 postanowiłem zebrać wszystko to, *co jeszcze pozostało* ciekawego, okazało się, że wypełniając dwie duże sale w Zachęcie, pomieściłem zaledwie cząstkę tych czarujących fragmentów.

Przez dłuższy czas, drepcząc od sieni do sieni, od podwórka do podwórka, wynajdywałem wprost fenomenalne motywy, jak „Kasztelanka" nad Wisłą, baszta Szlachecka na Mostowej, pałac Lucy-



BRONISŁAW KOPCZYŃSKI

pera na Kamiennych Schodkach i tyle innych fantastycznie pięknych... Z bólem muszę przyznać, że dziś, mimo Tow. Opieki nad Zabytkami, wiele piękności tych zniknęło bezpowrotnie, tak jak zresztą znikła poważna szata Staromiejskiego Rynku.

Z tej skarbnicy pamiątek i cudnych zakątków jakże przykro jest wyjść, aby zajrzeć w oblicze nowej, „postępowej" Warszawy, poza małemi wyjątkami (ul. Górnośląska), jakie smutne, bezmyślne koszary rozsiadają się w naszej stolicy! Na litość boską, czyż zanik smaku este-



BR. KOPCZYŃSKI: WINIARNIA FUKIERA

tycznego i piękna można nazywać postępem? Czy nie cofamy się wstecz, stawiając w XX wieku prostolinijne pudła w centrum tego kraju, w którym już przed wiekami stawiano w takim np. Kazimierzu przepięknie i indywidualnie komponowane spichlerze i lamusy?

Niezbędnym, jak wiadomo, wskaźnikiem wartości estetycznej budynku w dobrym stylu jest jego indywidualna interpretacja; niestety, nie daje się to zauważyć w najnowszych dzielnicach Warszawy.

Wiele już wykonanych tego rodzaju budowli powinno dla dobra sprawy spoczywać w tekach projektów eksperymentalnych.

Jakkolwiek nie jest wyłączone, że architektura nowoczesna zdobędzie się w przyszłości na przydanie swemu stylowi cech bardziej indywidualnych i zróżniczkowanych, to jednak współczuję mym przyszłym kolegom, młodszym odemnie o lat setkę, którzy, chcąc malować zabytki architektury z okresu odrodzenia Polski, nie będą mogli zadowolić się (tak jak obecnie) ołówkiem i pędzlem, lecz zmuszeni będą do noszenia ze sobą przeróżnych rajzbretów, rajszyn, cyrkli i pionów!

ems.



niebo.

MARJA PAWLIKOWSKA

PATRZĄC W NIEBO

...i ani lilji wodnej
aby się uchwycić
w wielkiem jeziorze nieba
w którem serce tonie...
Któż mi przyszłość wywróży z lotu
samolotów
grających na nieboskłonie?
Jaskółki tulą wieści z różanych szaletów
do kaub pięknych pilotów
szarpiących obłoki...
Zmierzch idzie — milkną głosy
Spadów i Breguetów,
noc nakłada żałobę, niewiadomo po kim.

SYPIALNIA NIEBIOS

Sypialnią jesteś,
malowaną w tęcze,
niebo banalne, małżeński plafonie!
Wielka sypialnia!
i serca szalone!
Samolot komar w mrocznym kącie
brzęczy...

DZIEWCZYNA W ŻAŁOBIE

Czemu w niebo spoglądasz, dziewczyno
przechylona wstecz
trzcinowem ciałem — — ?
Oczy Wenus masz dzisiaj —
marmurowe migdały — — —
ktoś cię odszedł
czy ktoś cię minął?
biała i położona
na kołnierzu z lutrów
w obłokach szukasz czego? —
czy lustra?

BRETONKA

Z brzegu powietrza
jak z bretońskiej landy
patrzę w błękity
nieba - oceanu,
gdzie mój jedyny rozwiesza girlandy
krętych loopingów,
śmiałych immelmanów — — —
Czekam, z modlitwą, na tęskniących
landach —
W dali lśni księżyc —
powietrzna Islandja...

Dwutysięczna rocznica urodzin najznakomitszego poety łacińskiego Wergiliusza

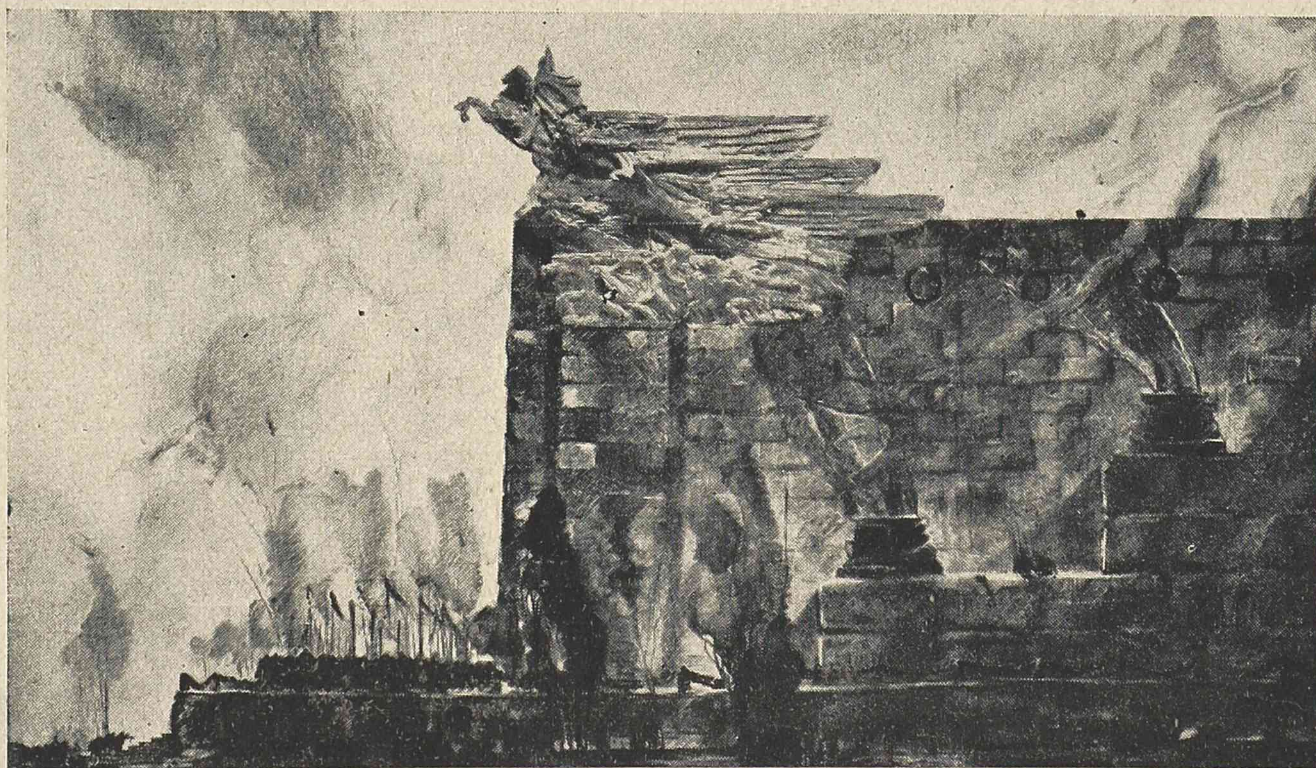
Publius Vergilius, autor słynnych „Bukolik", „Eneidy", „Georgic", urodził się w Andes pod Mantuą. Pieśni jego wrosły w dorobek kultury ogólnoludzkiej. Na język polski był tłomaczony wielokrotnie. Dwutysięczna rocznica jego urodzin w całym cywilizowanym świecie wywołała głośny, wdzięczny oddźwięk hołdu.





Grób Wergiljusza pod Neapolem: U wejścia do grobu tego znaleziono stosunkowo wczesny fresk, bo pochodzący z r. 1455

MIEDZYNARODOWY KONKURS NA POMNIK BOLIVARA



1-A NAGRODA. DZIEŁO ZBIOROWE PIĘCIU FRANCUZÓW ARCHITEKTÓW I RZEŹBIARZY

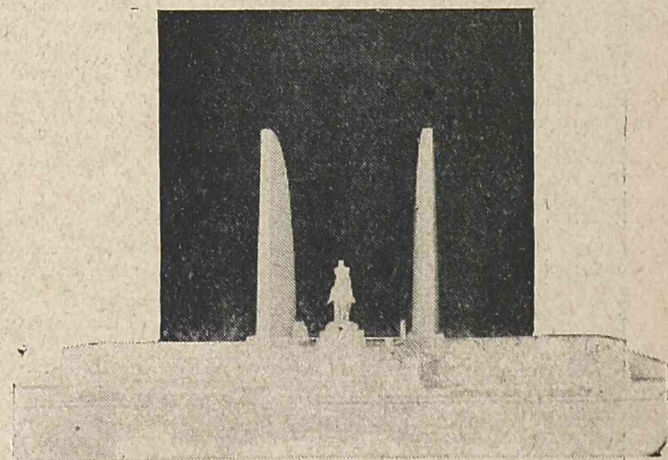
Ameryka południowa mało jest znana w Europie i mało kto pamięta o jej narodowych rocznicach. Może tylko historyk, lub rozmiłowany w encyklopedycznych wiadomościach inteligent wie, że wkrótce republiki Ameryki łacińskiej będą święciły stulecie śmierci Szymona Bolivara (1783—1830), tego napoleońskiej miary strategika i prawodawcy. Żołnierz wolności, który idei wolnościowej nie zaparł się nigdy, Bolivar po zrzuceniu jarzma hiszpańskiego stał się prezydentem Boliwji.

Z okazji nadchodzącego stulecia, republika Equatoru wznosi w Quito, stolicy państwa, pomnik ku czci Bolivara. Konkurs międzynarodowy odbył się w Paryżu; przeszło stupięćdziesięciu artystów przysłało swoje dzieła, z których znaczna ilość posiada rzeczywiste artystyczne walory, zarówno pod względem interpretacji tematu, jak i formy. Polska nie zawiodła na tym konkursie międzynarodowym, 3-cia nagroda przypadła p. Franciszkowi Blackowi, który tak niedawno otrzymał srebrny medal na wystawie Poznańskiej. Rodak nasz jest członkiem jury paryskiego Salonu Jesiennego, autorem cenionych dzieł jak np.: Madonna z dzieckiem, portret Władysława Mickiewicza w bronzie posrebrzanym i wielu innych. Rzeźba jego, głowa wykuta w kamieniu, znajduje się w Luksemburskiem Muzeum w Paryżu, zakupiona przez państwo francuskie.

Pomnik Bolivara wywołał szczery zachwyt wśród znawców amerykańskich. Pomnik p. Blacka, gloryfikacja przeszłości, jest jednocześnie symbolem ideałów dzisiejszej Ameryki południowej.

Stanisława Hulanicka.

Paryż.



2-GA NAGRODA. PROJEKT FRANCUSKI: JOFFRE, SOURELA I DAVINA



Zielony karnawał na Prypeci

(Z wrażeń i przeżyć myśliwskich)

Rys. Z. Nirnstein

Maleńka stacyjka za Łunińcem, w kierunku Mikaszewicz. Potem parę kilometrów niewygodną bryczką po piaskach i błotach. Aż wreszcie rozklekotany wehikuł zatrzymał się na skraju Kożangródka. Tak zowie się wielkie sioło czy też mała mieścina nad rzeką Cną, skąd mam już łódką dostać się na Prypeć.

Dom schludny, dobrze ogrodzony. Wybiega zeń hoża kobieta z dzieckiem na ręku.

— Karpiej jest?

— Niema, pane, pojechał na Prypeć.

— Miał przecież czekać na mnie?

— Ułożyli, że pana powiezie Reszewski. Ot, już idzie.

Głos rybaczki brzmi żałośnie, lecz w kątach ust i w ciemnych oczach błąka się zalotny uśmiech. Młode i ładne kobiety są jednakowo pewne siebie pod każdą szerokością geograficzną...

Reszewski jest rybakiem niemłodym, lecz silnie zbudowanym. Czyni wrażenie człowieka, noszącego wysoko własną godność, miłującego dobry zarobek i mocną wódkę. Objął mię dłuższem, nieufnem spojrzeniem, zważył, ocenił. Egzamin wypadł pomyślnie, bo uśmiechnął się łaskawie.

— Pojedziem, pane?

— Jak najrychlej!

Mija jednak godzina, zanim wąska i hybotliwa łódka gotowa jest do drogi. Walizki i kuferki pracowicie ułożone, środek łódki suto wymoszczone sianem. Pani Karpiejowa przyniosła świeżych jajek, masła, kartofli i czarnego chleba. Kiedy odbijamy od brzegu, żegna nas uśmiechem trochę smętnym trochę drwiącym.

— Budtie zdorowy, pane!

Słońce chyli się ku zachodowi.

. . . .

Przez dłuższy czas płyniemy wzdłuż zagród rybackich, rozpierających się szeroko po obu stronach rzeki. Aż wreszcie wydostajemy się na otwartą nizinę, po której już pełzają przedwieczorne mgły. Cna wije się wśród zielonych łąk w krętych i wdzięcznych meandrach. Stada krów wracają do obór. Słychać dalekie nawoływania pastuchów, śpiewy przepojone krzykliwą żałością. Bystry nurt rzeki niesie łódkę cicho i szybko. Czasem pluśnie wiosło. Pierwsze gwiazdy przekłuły poszarzały lazur nieba. Rzeka rozszerza się. Pojawiają się pierwsze kępy łóz. Para krzyżówek, aż tu zapędzona żarem pożądań, zerwała się z gniewnem kwakaniem.

Zbliżamy się do terenów łowieckich. Jak okiem sięgnąć, woda, błota, mokre ługi, łozy, suche brodate oczerety. Przytłumiony rechot żab brzmi, jak senna, nie kończąca się kantylena. Zakatarzony bąk huka w oczeretach jednostajnie i ponuro. Niedaleko odezwała się cyranka, wołając namiętnie samca. Wątła łupina łódki ślizga się lekko po coraz bardziej tajemniczych głębiach. Powiał chłodny, nocny wiatr.



Z gąszczów łoziny dochodzą dziwne szmery, gonitwy, szlochy, westchnienia... Coraz wyżej wznosi się żółty sierp księżyca.

— Odpoczniem, pane! Już Prypeć niedaleko.

Wcisnęliśmy się w kępę łóz, zapaliliśmy papierosy. Zaczyna się cicha rozmowa w okropnej gwarze, która jest bigosem trzech języków: polskiego, rosyjskiego i białoruskiego. Reszewski posiada gospodarstwo w Koziangródku i 45 dziesięcin łąk na Prypeci. Jest rolnikiem, rybakiem, hodowcą, przewoźnikiem, — pewno i kłusownikiem.

— Dziesięcioro dzieci w domu, pane, a troje zmarło...

Poglądam na niego z podziwem. On podchwycił moje spojrzenie i dodaje z goryczą:

— Panowie to potrafią się ustrzedz, a my, ludzie prości, nie umiemy...

. . . .

Suniemy znów poprzez coraz dziksze pustkowia. Nagle, tuż przed nami zrywa się piekielny hałas. Wśród gwałtownego plusku wody majaczą kontury umykających potworów. Hipopotamy?

Reszewski objaśnia:

— Konie wsiowe pasą się tutaj. Nawet koń staje się na tych moczarach zwierzęciem wodnem.

Łódka zadrżała nerwowo, porwana mocnym prądem. Rozwinęła się przed nami szeroka wstęga wspaniałej rzeki. O, niewysłowiona melancholjo Prypeci! Z jaką powagą płyną twe ciemne wody! W nadbrzeżnych zaroślach nie bacząc na chłód oszalałe słowiki wydzwaniają miłosne trele... Żaby rechocą pracowicie, bez przerwy.

W mrocznej dali zaświecił czerwony płomyk. Re-



szewski huknął potężnie. Odpowiedziały radosne okrzyki: Niebawem dziób łódki uderza o piaszczysty brzeg wysepki, na której wznosi się kureń. Jest to okrągły szałas, spleciony z gałęzi, bez okien, o jednych wąskich drzwiczkach. Wewnątrz — pośrodku palenisko, dokoła nary, zasłane suchą trzciną. Gruby pniak służy za stół. Światła elektrycznego jeszcze tutaj niema. Trzeba się zadowolnić stearynowym ogarkiem.

Serdeczne przywitania, pospieszna przekąska, — i spać! Godzina jest późna, polowanie rozpoczyna się o brzasku. Ale, choć świeca zgaszona, Reszewski ma dużo do opowiedzenia swoim dwum kolegom. Butelka wódki, którą mu ofiarowałem, krąży ochoczo z rąk do rąk, podniecając wymianę zdań. Aż wreszcie paroma lapidarnemi wyrazami przerywam te nocne koziangrodzkich rodaków rozmowy.

. . . .

Jeszcze trwa gęsty mrok, gdy rybacy schodzą z legowisk. Wnet dym z ogniska poczyna wgryzać się w oczy. Powietrze jest świeże, niebo blade, czyste. Ranne ablucje odbywają się w łódkach, które przy każdym śmielszym ruchu chybocą się zdradliwie. Nirnstein zaparza kawę w uroczystem napięciu ducha. Kulinarne jego talenty zabłysną w całej pełni dopiero w porze obiadowej.

Zasiadłem krzepko na niskiej i niewygodnej ławeczce, broń nabita w ręku, łódka płynie wśród kęp łozy i oczeretu. Porywa się pierwszy kaczorek. Huknął strzał. Ptak spada, jak kamień...

W polowaniu „na podrywacza" strzały przeważnie bywają dość dalekie. Wskutek tego zbarczony kaczor przepada często w niedostępnych zaroślach. Idzie także o to, by, broń Boże, nie pomylić się i nie zabić kaczki. Probujemy tedy wabić. Reszewski nie wziął z sobą krikuchy, uważając, ze na krzyżówki już pora spóźniona. Spuszczamy na wodę drewnianą cyrankę, starannie ubarwioną, — arcydzieło snycerskie Warszawskiej Spółki Myśliwskiej. Sami wciskamy się w gąszcz łoziny, zaszywamy niewidocznie w jej powikłane gałęzie. Reszewski wyciąga z kieszeni malutki instrument. Przytyka do ust, i wraz odzywa się wołanie stęsknionej samicy, dręczonej pożogą zmysłów. Reszewski jest artystą i psychologiem. Wprowadza do swych inwokacji drażniące pauzy, dobywa chwilami akcenty zrozpaczonej wprost zmysłowości. Jak to nierzadko zdarza się nawet wielkim artystom, Reszewski cokolwiek przesadza w swej sztuce, „poprawia" jętą szałem cyrankę. I widocznie ma słuszność, bo rychło w gąszczach łóz dają się słyszeć ja-



kieś podejrzane szmery. Wysoko i daleko śmignął przemądry, nieufny kaczor. Lecz nagle inny, niewiadomo kiedy i skąd, sfrunął na wodę, tuż obok kukiełki. Strzał. Ani drgnął, jasnem podbrzuszem świeci na wodzie. Ledwiem zdążył nabić, drugi przeleciał nisko i bardzo szybko. Strzeliłem — przez gałęzie — źle. Kaczor podniósł się w górę. Strzeliłem po raz drugi, już zgoła wygodnie. Spadł z głośnym pluskiem na czystą wodę...

Przesuwamy się z jednego uroczyska na inne, już to wabiąc płoche kaczory, już strzelając do zrywających się po drodze.

Z niebieskawych wód wyzierają czuby zielonych traw utkane olbrzymiemi, złotemi kaczeńcami. Pierwsze dni maja, to zielony karnawał cyranek. W tym okresie kojarzą się ich małżeństwa i przelotne romanse. W tym czasie stają się mniej czujne.

Prócz małych kaczorków, udaje mi się zastrzelić kilka większych: krzyżówek, czerwonogłówek, czernuch. Reszewski, ornitolog doświadczony, twierdzi, że na Prypeci spotyka się koło 20-u gatunków kaczek. Ja, prócz tych, które zabiłem, widziałem jeszcze tylko „gogole" i „gongoły".

Gdy o przedpołudniowej porze wracamy do kurenia, olbrzymi orzeł, szeroko rozpostarłszy skrzydła, zawisł wysoko na jasnem tle nieba, prawie nieruchomy, — majestatyczny w swej powadze i dostojności. Słońce grzeje rozkosznie, powietrze pachnie wiosną. Na wysepce ogień już rozpalony, mecenas Kalitowicz, pochylony nad kociołkiem, warzy kunsztowny rosół na cyrankach, wyposażając go w tak skomplikowane ingredjencje, że sam p. Szeliga, twórca „Nowego kucharza doskonałego", uczułby się w swych ambicjach zaniepokojony. Zaś Nirnstein pyta mię słodko, prawie od niechcenia, czy lubię jajecznicę na przypalonem maśle? Do djabła, na przypalonem maśle!... Czy nie lepiej byłoby, poprostu, jajka na miękko, pieczone kartofle? — Jakto, i rosołu pan nie chce? — pyta boleśnie dotknięty mecenas.

O wybujałości polskiego indywidualizmu! Jest nas trzech i każdy je na obiad co innego.

Jeszcze nieraz powtórzą się te dysonanse, zwłaszcza gdy Nirnstein pocznie borykać się na patelni ze świeżo złowionym okuniem.

. . . .

Aż do zmierzchu w łódce. Kolację spożywamy szybko, bez gastronomicznych eksperymentów. Już układamy się do snu, gdy w drzwiach kurenia zjawia się kilka obcych postaci z fuzjami w rękach.

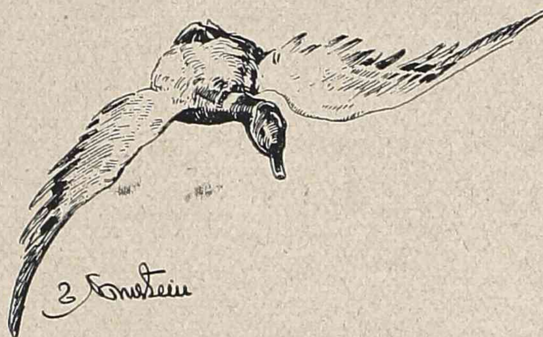


„Brody ich długie, kręcone wąsiska, wzrok dziki, suknia plugawa". Myśliwi z przewoźnikami szukają noclegu. Proponujemy nieznajomym nemrodom, by szukali innego kurenia; w naszym miejsca dla wszystkich nie starczy. Milczenie, szepty. Nasi rybacy mają miny zgoła groźne. Po chwili wahania, przybysze, zrażeni naszym egoizmem, wychodzą bez pożegnania.

Los karze nas za ten brak aktywniejszego altruizmu. Gdy się o świcie budzimy, wita nas niebo beznadziejnie szare, zapaćkane. Mży drobny, zimny deszcz. Suchy rybak i mokry myśliwy jednakowo mało warci! Co chwila ktoś wytyka nos na dwór, wodzi smętnym wzrokiem po szarzyźnie widnokręgu i wraca podzielić się swemi spostrzeżeniami. Wymiana zdań i proroczych przewidywań jest tak ożywiona, że o spaniu nie może być mowy. O szóstej „już tylko kropi". Niebo jest sine, chłodny wiatr przenika do kości. Kaczki rwą się daleko, na wabia nie chcą iść wcale. Nawet tutaj sięgło zmaterjalizowanie i chęć wygód. Kaczory obojętnieją w swych zapałach, gdy im nie dać słońca i ciepła.

Więc i rezultaty łowieckie tego dnia znacznie słabsze. O zmroku wracamy do Kożangródka, gdzie nam udziela gościny Karpiej. Ściele nam siano na podłodze, pani Karpiejowa z trojgiem dzieci idzie na zapiecek, gospodarz wyciąga się dumnie i samotnie na małżeńskiem łożu...

Stefan Krzywoszewski



Nowe horyzonty Międzynarodowego Prawa Karnego

Na marginesie odczytu Dr. E. St. Rappaporta

Międzynarodowe prawo karne jest gałęzią międzynarodowego prawa prywatnego. Zadaniem jego jest określenie kompetencji sądów wobec przestępstw, popełnionych przez obywateli *nie* na terenie swego kraju.

Powstanie prawa międzynarodowego jest równoczesne z unormowaniem obrotu międzypaństwowego. Od pierwotnego całkowitego braku praw cudzoziemców w zamierzchłej starożytności przeszliśmy do zupełnego dziś równouprawnienia ich przez wszystkie państwa cywilizowane.

Niezwykle ważną kwestją, która w znakomity sposób usprawni międzynarodowy wymiar sprawiedliwości, jest stworzenie odpowiedniego aparatu sądowego i opracowanie kodyfikacji.



E. ST. RAPPAPORT

Międzynarodowe prawo karne, drogi jego rozwoju interesują żywo najwybitniejszych uczonych. Nasi prawnicy nie pozostają w tyle w tych badaniach: Członek Komisji Kodyfikacyjnej Rzeczypospolitej Polskiej, sędzia Sądu Najwyższego, autor szeregu prac naukowych dr. E. St. Rappaport, wygłosił niedawno odczyt p. t. „Nowe horyzonty międzynarodowego prawa karnego".

Prelegent pomimo trudności, jakie napotkał przy opracowywaniu tematu: nadmiaru zgoła nowych a bardzo licznych materjałów dyplomatycznych, naukowych i ustawodawczych, dał bardzo ciekawy i śmiały obraz „rzeczywistości międzypaństwowej epoki przejściowej, jaką przeżywamy obecnie".

W stosunkach międzynarodowych walczą ze sobą dwa kierunki: jeden to prąd, chcący oprzeć życie międzynarodowe na bagnetach, drugi — dążący do współpracy państw i znalezienia coraz doskonalszych form współżycia narodów. Trudno sobie wyobrazić bytowanie społeczne bez przymusu. Dawny przymus fizyczny ustąpił miejsca sankcji prawnej, bez której nie jest do pomyślenia wprowadzenie w życie jakichkolwiek przepisów.

Wszelkie braki prawa międzynarodowego płyną z tego, że organy przez nie ustanowione nie mają egzekutywy i posługiwać się muszą zawodzącym często autorytetem moralnym.

Nowe międzynarodowe prawo — nieodzowny warunek zgodnej kollaboracji państw — już istnieje, lecz, by mogło spełniać swą rolę skutecznie, musi mieć zapewniony pokój.

Tym puklerzem przeciw wojnie ma być międzynarodowe prawo karne, „system nowych swoistych dyspozycyj i sankcyj, skierowanych przeciwko ewentualnemu zbiorowemu burzycielowi prawa pokoju (państwo - zbrodniarz)".

Dr. Rappaport rzuca myśl, by odpowiedzialność karna ciążyła nietylko na jednostce, ale i na państwach, które winny odpowiadać za naruszenie pokoju. Miejsce utopizmu musi zająć pacyfizm prawny, który traktuje wojnę zaczepną za zbrodnię, narówni z zabójstwem rodziców i zamachami na bezpieczeństwo państwa. Sankcje prawne byłyby w ręku międzynarodowego sądu sprawiedliwości karzącej „ze sprawnie działającym międzynarodowym urzędem prokuratorskim, ewentualnie — ze sprawnie i ściśle objektywnie działającą izbą oskarżeń tegoż sądu".

Dr. Rappaport jednak zastrzega, że „obrona zbrojna przed napaścią jest nietylko uprawniona, lecz jest elementarnym obowiązkiem każdego żywotnego organizmu państwowego. Największą może zawadą dla rozwoju trzeźwych dążeń pacyfizmu prawnego byłoby przedwczesne rozbrajanie się poszczególnych jednostek państwowych, budzące niezdrowe apetyty w domniemanem państwie zaczepnem".

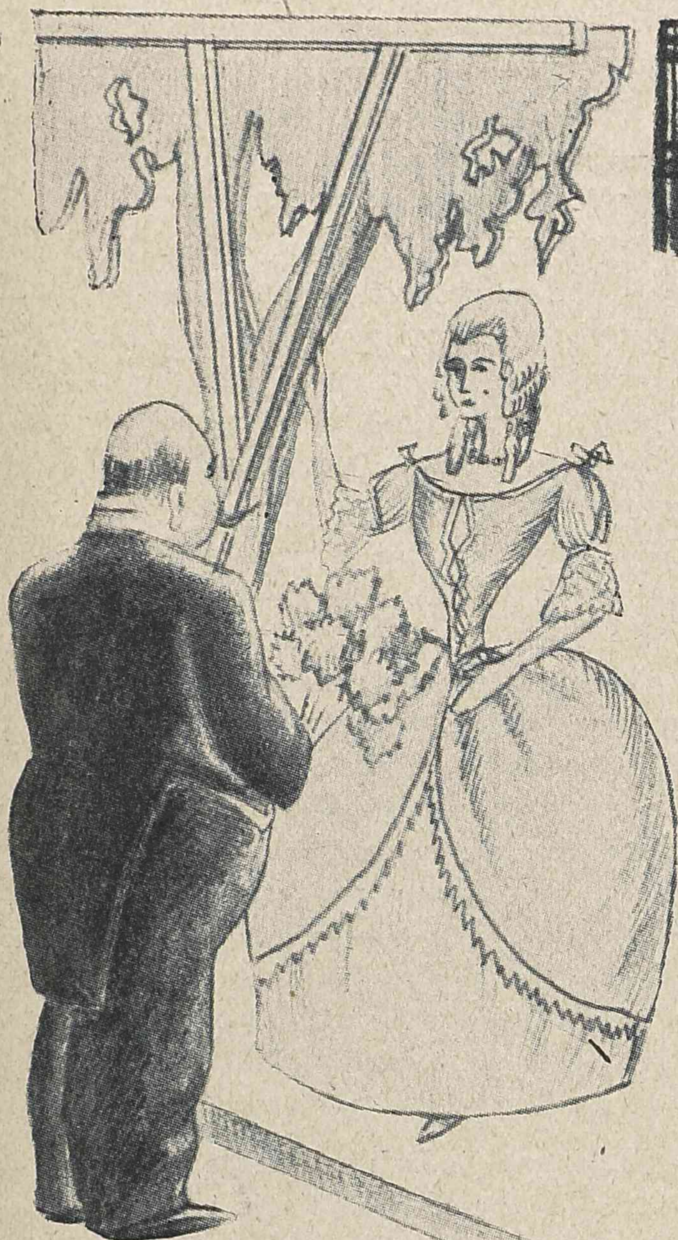
J. M. Życki

WRĘCZENIE LISTÓW UWIERZYTELNIAJĄCYCH P. PREZYDENTOWI PRZEZ AMBASADORA ST. ZJEDNOCZONYCH AM. P.

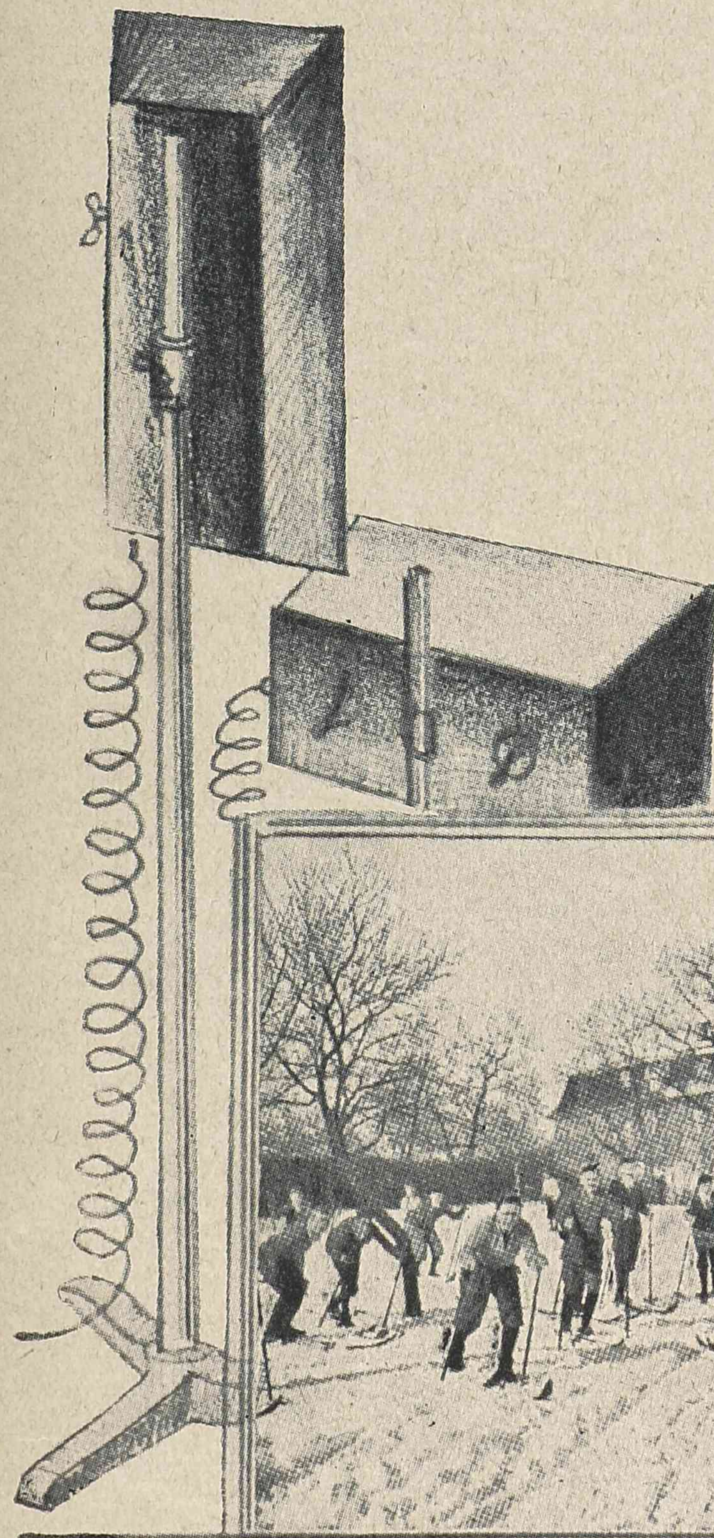


A. P. I. G. WILLYS, AMBASADOR STANÓW ZJEDNOCZONYCH AMERYKI PÓŁNOCNEJ, UROCZYŚCIE WRĘCZYŁ W DN. 24 B. M. LISTY UWIERZYTELNIAJĄCE PANU PREZYDENTOWI RZECZYPOSPOLITEJ NA ZAMKU WARSZAWSKIM

FIGLE X MUZY



Może to nie jest wskazane, aby publiczność wiedziała, co się dzieje za kulisami tych złudzeń, które ją karmią dreszczami wzruszenia na przedstawieniach zarówno w teatrze, jak i w kinie. Co się tyczy teatru, rewelacje w tej dziedzinie są o tyle trudne do imponowania, że zbyt wielu już mecenasów sztuki bywało w swojem życiu za kulisami, a że zazwyczaj są to dżentelmeni wielce zasobni w doświadczenie i pieniądze, wszystko było dla nich dostępne, nie wyłączając tkliwych serc, nawet najstarszych primabalerin, jak i najmłodszego, tak trafnie i dokładnie nazwanego, baletowego ciała. Od czasu więc sławnego Mazurkiewicza z komedji Ruszkowskiego, który miał tyle trzeźwego rozsądku, że wszedłszy za kulisy, sam się zdumiewał swej odwadze, wołając: „Mazurkiewicz, bój się Boga, gdzieś ty wlazł", tajemnica kulis teatralnych przestała być tajemnicą. Wiele też do tego przyczynili się różni znakomici autorzy, którzy pisali dużo na ten temat łzawych i pięknych powieści, opiewających wdzięczne historje skrzywdzonych przez czarne charaktery naiwnych dziewczątek, opanowanych żądzą służenia sztuce przez wielkie „S".



Ale co innego gdy chodzi o kino. X-ta Muza z Melpomeną ma to jedynie wspólne, że tak jak w teatrze publiczność decyduje o powodzeniu, a autor bierze do piekła wszystkie grzechy, jakie zostały popełnione w tej długiej drodze, która dzieli „idee" filmu od pierwszego wyświetlenia na srebrnym ekranie.

W tłumie tych różnic dzielących kulisy kina od kulis teatru istnieje przedewszystkiem to, że kino właściwie kulis nie ma, to znaczy nie posiada tego nieodzownego warunku, który w swoim czasie, zwłaszcza na prowincji, stworzyło żywą popularność teatru, t. j. damskich garderób... Od czasu też, kiedy surowe rygory dyrekcyjne uniemożliwiły starszym panom winszowanie z pudełkiem cukierków pod pachą pierwszym naiwnym i lirycznym bohaterkom sukcesów artystycznych, zaczęto przebąkiwać, że teatr mija się ze swoim celem... Jeżeli tego nie mówią jeszcze zbyt głośno o kinie, to dlatego, być może, że pamięta się jeszcze ciche łzy spływające po policzkach, kiedy pierwszy skrzypek grał z uczuciem „L'automne" Czajkowskiego, w momencie kiedy on odnalazł ją, a ona jego przycisnęła do serca, a po całej sali rozchodziło się głębokie westchnienie ulgi. Kiedy wogóle można było przepędzić miłą godzinę „sam na sam" wśród mroku, rozpraszanego jedynie mgławem światłem wyświetlanej





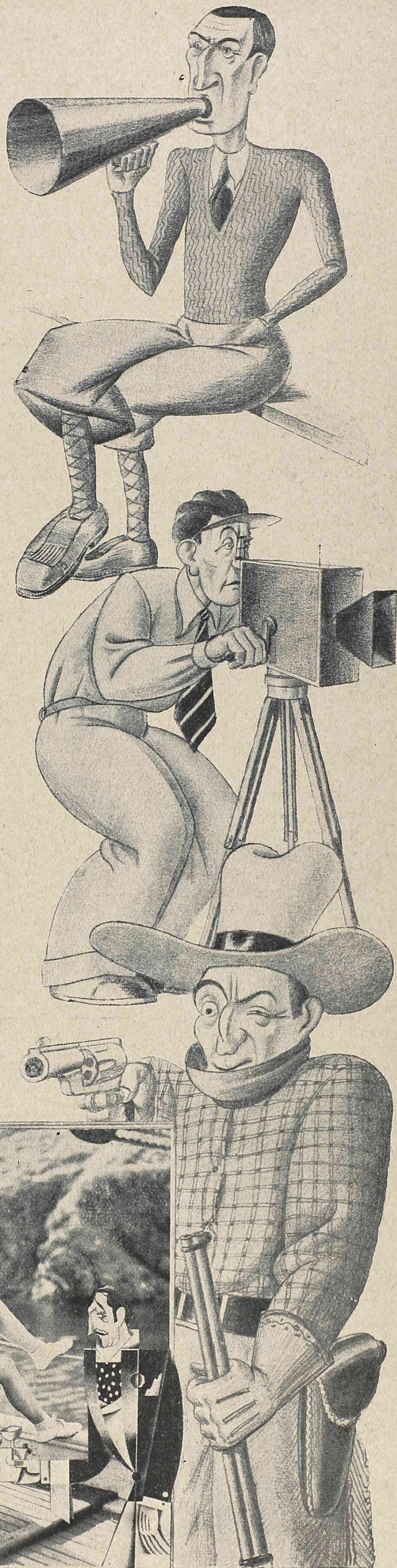
RYS. A. SIEMASZKO

na ekranie tragedji i nikt nie przypuszczał ani na chwilę, że przyjdzie taki czas, iż trzeba będzie przytem słuchać ryków i świstów, jakgdyby mało hałasu było na świecie, a co najgorsze, kiepskiego śpiewu, za który w obłąkanej Ameryce zapłacono dziesiątki tysięcy dolarów.

Jestem osobiście przeciwnikiem filmu t. zw. dźwiękowego i hałasującego i proszę mi wybaczyć ten okropny konserwatyzm. Odebrano nam — ludziom, którzy lubią ciszę, ostatnią redutę milczenia, ostatnie złudzenia, że człowiek zdolny jest zarówno wyrazić swe uczucia bez gadania i śpiewania, jak i zrozumieć drugiego człowieka wzrokiem, który jest językiem duszy — a nie plugawym jęzorem, używanym do obgadywania swych przyjaciół. Ale trudno. W ogólnym mechanizmie świata stajemy się coraz mniejszym pyłkiem, zagubionym w miażdżących trybach postępu. Któżby się liczył dzisiaj z tymi, którzy czegoś żałują, co było dawniej, lub oponują przeciw czemuś, co im się nie podoba? Człowiek, który tworzy życie, stał się jego pokornym niewolnikiem. Licho też wie, kto je właściwie dzisiaj tworzy, skoro wszyscy są z niego niezadowoleni?

Właśnie, mniejwięcej to samo możnaby powiedzieć o każdym nowym filmie. Bywa bowiem tak, że taki film czyli epokowy dramat zostaje od pierwszej chwili napiętnowany jak ostatni zbrodniarz. Kto żyje, ten się nad nim znęca. Reżyser klnie i wykrzywia się, mówiąc o drehbuchu; nawet sam genjalny Abel Ganc nie zrobiłby nic możliwego. Najznakomitszy oczywiście z żyjących fachowiec, który ten drehbuch robił, zwala całą winę na autora scenarjusza, autor scenarjusza ma pretensje do operatora, operator zasłania się wiatrem i światłem, aktorzy mówią, że byli zamało zapłaceni i dlatego grali bez najmniejszego przekonania, finansista — ofiara, człowiek spokojny i opanowany, na samo wspomnienie chwili, w której ten scenarjusz zaakceptował, wpada z wściekłości w pląsy, na wzór św. Wita. Jedna publiczność jest spokojna. Trzyma się od tego wszystkiego zdaleka i chodzi na inny film, znacznie gorszy. Dlaczego?... Któż to może zgadnąć? Woli akurat co innego. Takie jest jego prawo! Nikt tu nie umie znaleźć przyczyny, kto tu zawinił, gdyż wszyscy robili, co mogli, aby film wykonano „z ogromnym nakładem pracy i pieniędzy". To też film ten z całą pewnością mógł uchodzić za „epokowe rewelacyjne arcydzieło". Reżyser był genjalny, conajmniej jak sam Lubicz. Aktorzy znakomici, nie wyłączając nawet i tego, którego w ostatniej chwili wycięto. Bohaterka była zdolna czarować olśniewającą urodą całe pokolenia. Amant, którego znaleziono przypadkiem roznoszącego piwo w pewnym szynczku, był kubek w kubek podobny do Valentina. Nawet autor scenarjusza był „znany i ceniony". A jednak... coś się takiego stało, że kiedy film był gotowy, okazało się, że wszyscy byli skończonymi kretynami z wyjątkiem naturalnie tego, który dał na ten film pieniądze. Ten był już skończonym warjatem i siedział na kuracji w Monte Carlo.

Przypuśćmy zatem, że błąd polegał na tem, iż scenarjusz pisał jeden autor. Tego należy unikać. Powinien być pisany przez kilku, najmniej przez dwuch, najbardziej





utalentowanych pisarzy, gdyż indywidualność i talent, choćby największy, jednego człowieka, nie może wystarczyć na stworzenie „epokowego arcydzieła". To jasne. Weźmy więc dwuch najbardziej utalentowanych w tej dziedzinie, jakich znamy. Powiedzmy tak: Szekspira i Molièra.

Wiemy dobrze, że zarówno Szekspir, jak Molièr nie opływali nigdy w gotówkę. Byli to zwyczajni „dostawcy", którzy płodzili swoje sztuki na zamówienie i okolicznościowe fety.

Otóż na takich dwuch Szekspirów i Molièrów naszych czasów przychodzi pewnego razu niezależna tęsknota za porcją parówek z kapustą i szklanką piwa; o rakach, kurczętach i winach nie marzą oczywiście. Każdy z nich jednak posiada czarującą przyjaciółkę, z których jedna pracuje w magazynie kapeluszy, druga robi manicurę wprost genjalnie. Towarzystwo zatem jest dobrane i liczące razem niewiele więcej lat od primadonny operetkowej z tych niezapomnianych czasów, kiedy operetka warszawska była prawdziwą dumą Polski. Ci młodzi państwo kochają się gorąco, a świat wydaje się im niepozbawiony wdzięku. Do pełnego szczęścia brakuje im tylko pieniędzy. Od czego jednak jest tak cudownie głupawa młodość, która nie mierzy sił na zamiary. Od czego talent, do licha — panowie! siedemset kilkadziesiąt kinematografów w Polsce wyświetla co dwa tygodnie nowy film!... czyżby nie było w nich miejsca na film, do którego właśnie Szekspirowi przyszła znakomita idea?... Ma pomysł. Pomysł to wszystko. Za dobry pomysł, jak mówią powszechnie, w Ameryce płacą setki tysięcy dolarów. Zatem niema się co namyślać. Szekspir zwierza się Molièrowi ze swej idei! Idą razem na pół czarnej i zaczyna się wymiana myśli.

Nowoczesny Szekspir jest jednak nieco mętniejszy od swego poprzednika, chociaż nierównie pewniejszy siebie, niż tamten. Mówi więc tonem zmuszającym do zachwytu.

— Rzecz polega na tem, że jest pewna kobieta, której mąż zastrzelił kochanka w tym samym dniu, w którym kochanek zamordował jej poprzedniego męża, będącego zabójcą jej narzeczonego z czasów poprzedzających jej małżeństwo z pierwszym mężem.

— Co, co? — woła Molièr — tego żaden idjota nie zrozumie.

— Właśnie, mówię ci dlatego tak wyraźnie, żebyś zrozumiał — odpowiada Szekspir. — Kobieta jest czuła, piękna, powabna, namiętna, ognista, niewinna, radosna, młoda, czarująca.

— Smosarska — woła Molièr.

— Ja uważam, że Malicka, — twierdzi Szekspir. — Ale słuchaj, o co chodzi, wytłumaczę ci to jaśniej. Miała narzeczonego, naturalnie, nim wyszła za mąż za bogatego bankiera. Potem miała kochanka, który zastrzelił jej męża, który znów przedtem zamordował jej narzeczonego, a potem był zabity przez jej męża, który zabił jej kochanka!

— Do stu djabłów! — ryczy Molièr — chcesz, aby cię zrzucili ze schodów z takim scenarjuszem? Ja mam zupełnie genjalną ideę!... Przecież niema sensu, aby kobieta tak wytworna i miła nie zabiła sama chociażby jednego z nich. Przynajmniej tego drugiego męża, powiedzmy, nie mogąc przeboleć utraty narzeczonego, zabitego przez pierwszego. To znacznie wyjaśni sytuację i zrobi ją bardziej dla publiczności sympatyczną. Dodać jej przytem trochę uroku prawdziwego uczucia... co się zawsze podoba.

Szekspir się zgadza. Rezultatem tych rozmów jest scenarjusz pod tytułem „Kobieta, która cierpi niewinnie". Dramat erotyczny. Oczywiście, między dwoma genjuszami nieuniknione są pewne tarcia. W czwartej części, kiedy drugi mąż, zastrzeliwszy jej pierwszego narzeczonego, wchodzi do salonu, aby jej paść do kolan, zastaje czarującą kobietę pijącą czarną kawę. Szekspir proponuje, aby mąż wszedłszy do pokoju wsypał niznacznie do jej filiżanki truciznę. Tem rozpocząć okres konania. Molièr protestuje. Chodzi o to, aby publiczność była pewna, że ona jest niewinna. Zatem, w chwili, kiedy mąż po spełnieniu zabójstwa wchodzi do salonu z wyrazem twarzy pełnym miłości i zachwytu, ona musi uczynić coś... coś takiego, coby przekonało największego kretyna na widowni, że chociaż wie o popełnionem morderstwie, w głębi szlachetnego serca pogardza nim do głębi duszy. Jest wyższa ponad niegodną zemstę opanowanego erotycznym szałem mężczyzny. I to coś musi być tak zrobione, żeby nie trzeba było jednego słowa napisać.

— Ale co? — zapytuje Szekspir. Obaj pogrążają się w ponure zamyślenie.

— Już wiem! — woła Molièr. — Mąż wchodzi, aby jej paść do nóg, wtedy ona... zaczyna powolutku zdejmować z nogi pantofelek.

— Pantofelek?

— Tak. Pantofelek. Cóż w tem dziwnego?

— To już wolę, żeby w tem miejscu, kiedy mąż wchodzi do salonu z wyrazem twarzy mordercy, a jednocześnie pełnej, czułej i troskliwej miłości dla niej, ona spostrzega, że w jej jedwabnej pończoszce puściło oczko. Natychmiast bierze igłę, nawleka ją nitką i przez cały czas, kiedy on klęczy przy jej nogach, ona ceruje. To da widzom przeświadczenie o jej wrodzonej gospodarności i zjedna sympatję wszystkich kobiet.

— Niemożliwe — krzyczy Molièr. — Będzie niedozwolone dla młodzieży.

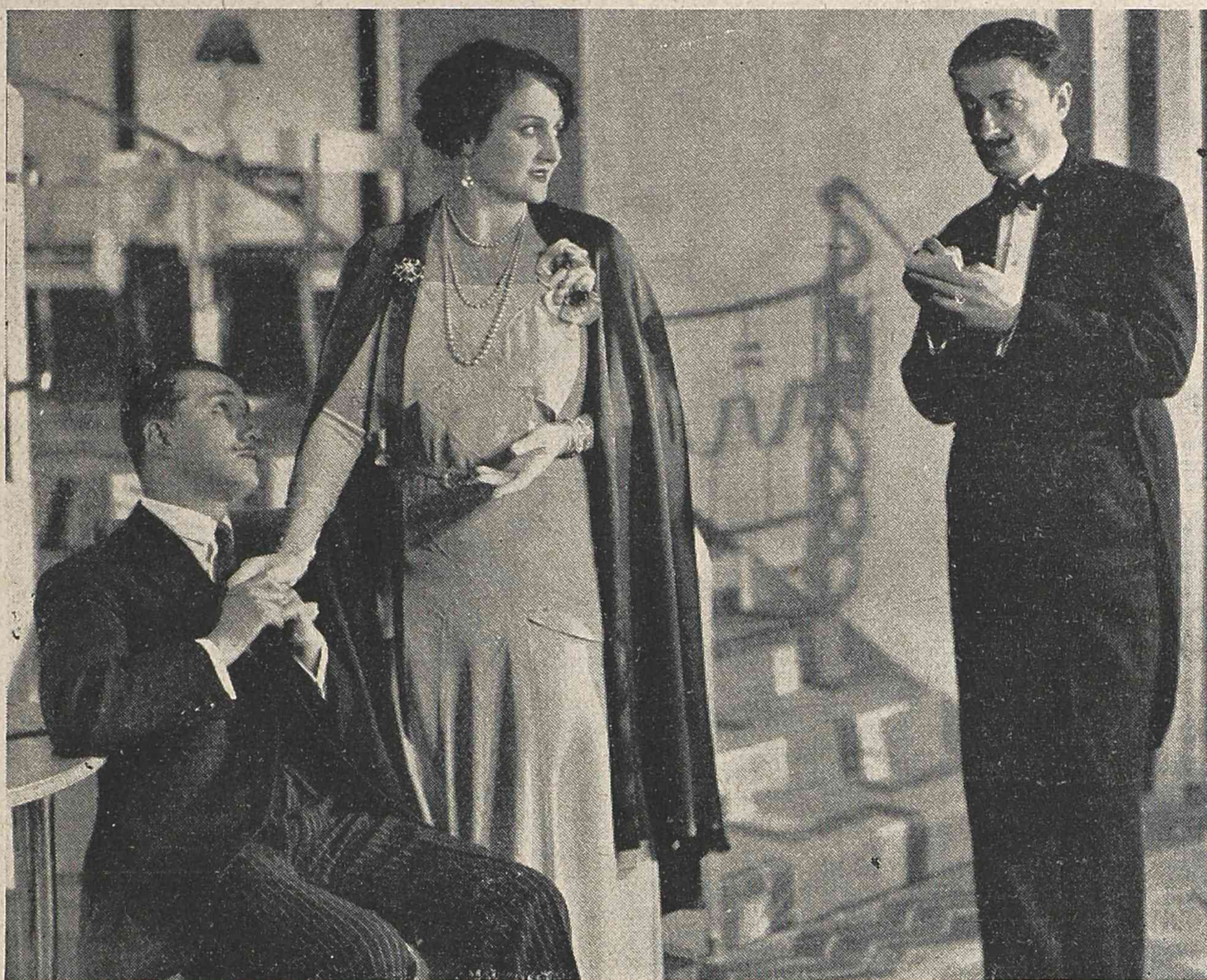
Zaczynają się kłócić, przyczem Molièr wyrzuca Szekspirowi, że jest kretyn, a Szekspir udawadnia Molièrowi, że jest matołem, wreszcie zgadzają się, że ona musi w tem miejscu dla wyrażenia swych czystych uczuć zdjąć pantofelek, ale zrobi to dlatego, że właśnie wróciła z ogrodu, gdzie z powodu wyrzutów sumienia tak się tarzała po ziemi, że się jej nabrało do pantofelków trochę piasku. Więc kiedy mąż wchodzi do salonu, aby jej wyznać swą zbrodniczą miłość, ona zdejmuje momentalnie pantofelek, wysypuje z niego piasek do popielniczki, mając przytem minę zimną i obojętną. On, widząc to, bez słowa klęka przed nią, opowiada o swojem morderstwie i ostatnich słowach swej ofiary, który powiedział: „Nie byłem tylko jednym jej narzeczonym. Tamci mnie pomszczą". Ona płacze, poczem wychodzi z pokoju i rzuca się ze skały w morze. Ale przepływający rybak ratuje ją i osusza przy kominku.

Tak szczęśliwie skończony scenarjusz odnoszą do wytwórni, gdzie odbywa się nad nim coś w rodzaju sądu polowego. Autorzy czekają w domu pogrążeni w odmętach emocji. Główny kierownik literacki, onże twórca drehbuchów, uważa wszystko za skończony idjotyzm! Operator utrzymuje, że jest zamało plainerów, głównemu reżyserowi podobają się tylko sceny zabójstw. Proponuje jednak, aby je urozmaicić zbliżeniami wątroby, którą przebija kula, oraz samej kuli, w biegu powiększonej 3.000 razy. Wreszcie śledziona w przekroju, pracujące z wysiłkiem płuca i ostatnie uderzenia serca oraz robaczkowy ruch kiszek.

Stefan Kiedrzyński

r. r.

TEATR POLSKI: „SŁABA PŁEĆ", SZTUKA W 3-ch AKTACH BOURDET'A W PRZEKŁADZIE WŁ. PERZYŃSKIEGO



WYKONAWCY RÓL GŁÓWNYCH: PP. MIERZEJEWSKI, PANCEWICZOWA I MASZYŃSKI

Fot. St. Brzozowski

Rzadka „wyprawa"

Jakim sposobem freblowski elaborat Reinhardta Goeringa p. t. *„Wyprawa kapitana Scota do bieguna Południowego"* dotarł do polskiej sceny stołecznej, do reprezentacyjnego Teatru Narodowego, zaiste trudno zgadnąć. Komu zależało na tem, aby z pierwszej sceny polskiej uczono publiczność polską chronologji wypraw nabiegunowych, też pozostanie zapewne wieczną tajemnicą. Dlaczego z pośród nietęgich sztuk niemieckich wybrano i wprowadzono na afisz najznakomitszej sceny polskiej wypociny właśnie najmarniejsze, jest to, niech, co chcą, mówią, demoniczny rebus nie do rozwiązania i arcyszatańska krzyżówka nie do odczytania wspak, prosto, z dołu do góry, czy z górki na pazurki. I pomyśleć, że kierownik literacki warszawskich Teatrów Miejskich ma w naukowej literaturze polskiej świetne dzieło prof. Dobrowolskiego o lodach podbiegunowych! Wystawiając je w Teatrze Narodowym, nie postąpiłby wprawdzie umiejętnie ze stanowiska znawcy dramatu, ale wystawiając niesceniczną bombę niemiecką pana Reinhardta Goeringa o literackim poziomie niżej zera i w przekładzie polskim niżej drugiego zera, postąpił ze stanowiska znawcy dramatu jeszcze nierozsądniej.

A pozatem, doprawdy, trzeba nie mieć odrobiny serca, żeby skazywać aktorów na tak jałową pracę, jak interpretowanie lodowatej nudy, ziejącej z sumiennego beztalencia quasi-sztuki pana Reinhardta Goeringa. A i z tego jeszcze względu wystawienie tej sztuki jest u nas czynem przeciwcywilizacyjnym, że zniechęca spektatorów polskich do częstszego organizowania wypraw podbiegunowych. Jestem przekonany, że ostatnia premjera Teatru Narodowego na długo powstrzyma wydatniejszą emigrację polskich sił naukowych na biegun południowy.

Wacław Grubiński

BAKCYL OPEROWY

[„Konrad Wallenrod" Żeleńskiego w Teatrze Wielkim]

Premjera opery „Konrad Wallenrod" Władysława Żeleńskiego odbyła się w roku 1885 we Lwowie. Nie utrzymała się wówczas na repertuarze i nie weszła do dorobku artystycznego naszych scen operowych. Trudno dziś badać przyczyny, dla których „Konrad Wallenrod" Żeleńskiego nie utrzymał się na scenie. Może ówczesnym słuchaczom wydawał się zbyt nowym, zbyt niezrozumiałym w swej inwencji muzycznej. Dziś słuchając tego dzieła, możemy bez żadnej przesady powiedzieć, że stała mu się wielka niepowetowana krzywda, a także że krzywda ta z pewnością odbiła się i na twórczości Żeleńskiego oraz może nawet na całej naszej twórczości operowej polskiej.

Muzyka „Konrada Wallenroda" była na swoje czasy, jeżeli nie rewelacyjną, to w każdym razie bardzo współczesną i mogła była wtedy ożywić naszą twórczość

NA SCENIE I W ŻYCIU



Marja Mirska, znana artystka dramatyczna, grająca con amore i z wybitnem powodzeniem rolę staruszki Mohiłowiczowej, kresowej dziedziczki, liczącej sobie lat 80, w komedji p. Grzymały - Siedleckiego p. t. „Maman do wzięcia", wygląda w rzeczywistości tak, jak pokazuje fotografja z prawej strony. Jest to jednak transformacja godna podziwu

NOWY DYREKTOR DEPART. SZTUKI



WŁADYSŁAW SKOCZYLAS, ZNANY ARTYSTA MALARZ, ZOSTAŁ MIANOWANY DYREKTOREM DEPART. SZTUKI W MIN. WYZN. REL. I OŚWIECENIA PUBLICZNEGO

operową. Dać jej wielki współczesny rozmach i wyzwolić ją z tego dworkowego konwenansu, w którym tak pięknie i z takim wdziękiem poruszał się Moniuszko, lecz z którego to konwenansu trzeba było wcześniej wyjść, niż się to stało w istocie.

Jeżeli muzyka ta na swoje czasy była rewelacyjną w Polsce, to i dziś, — przyznać to trzeba, — wytrzymuje całkiem dobrze próbę czasu a także porównanie z współczesnymi naszymi kompozytorami operowymi. Porównanie to wytrzymuje „Konrad Wallenrod" Żeleńskiego niejednokrotnie zwycięsko, zważywszy, że Żeleński prócz istotnego daru pięknej inwencji tematycznej posiadał jeszcze zaletę u nas rzadką, często lekceważoną a jednak w sprawach sztuki nieocenioną zaletę wielkiej i bardzo szlachetnej pracowitości.

W „Konradzie Wallenrodzie" spotkać można tak zwane martwe miejsca, w których natchnienie nie dopisało twórcy. Nie spotka tu jednak słuchacz ani jednego miejsca, ani jednego muzycznego numeru, któryby nie był pomyślany, przeprowadzony i najstaranniej zbudowany.

Jest to muzyka nie najwyższego lotu, zawsze jednak szlachetna w formie i celowa w swym dramatycznym wyrazie. Gdyby nasi współcześni twórcy operowi tyle umieli, tyle zawsze chcieli się uczyć, tak umieli i tak chcieli pracować, jak Żeleński, — kto wie, czy istniałby w Polsce tak zwany kryzys operowy?...

Wykonanie tego dzieła na scenie Teatru Wielkiego posiadało prócz takich lub innych niedomagań, takich czy innych zalet, jedną wielką pierwszorzędną, — jeżeli tu można użyć takiego przymiotnika, — wadę: Grzeszyło brakiem stylu, a co zatem idzie brakiem entuzjazmu.

Okazuje się, że bakcyl operowy (wampuka simplex) jest tak potężny, że potrafi zrujnować nawet tak głęboko wkorzenione w naszą wrażliwość dzieło, jak „Konrad Wallenrod", — chociaż w librecie Sarneckiego, — jednak w zasadzie poemat Mickiewicza. Z wielkości tego poematu, z jego wspaniałej grozy wieczystej zostało na scenie Teatru Wielkiego zaledwie trochę kiepskiej blachy i trochę szarej parcianki.

Trudno zaiste o bardziej zdawkową, potoczną i obojętną pieczę, jak ta, którą okazano w tej operze jej głównemu źródłu, t. j. Mickiewiczowi.

Część muzyczną prowadził p. Bojanowski, dyrygent dzielny i utalentowany, w tym jednak wypadku bardzo nierówny i jakgdyby bez planu. Słuchając Bojanowskiego, miało się ustawicznie wrażenie, że prowadzi rzecz bez żadnej decyzji, tak dalece nawet bez właściwego umiaru, że bez wyrównania planów brzmienia pomiędzy śpiewakami a orkiestrą.

Odbiło się to bardzo niekorzystnie na śpiewakach, z których żaden (może prócz p. Lipowskiej) nie wyszedł po za najprzeciętniejszą normę zwykłej operowej rutyny. *jkb.*

SPRAWY TEATRALNE

SPÓR O OPERĘ. Magistrat nie chce — bo nie może — łożyć olbrzymich subwencji na operę. Rząd nie chce dać ani grosza. Wywiązało się tedy zagadnienie: utrzymać operę, czy zrezygnować z tego kosztownego przybytku sztuki. Zarząd miasta znalazł pośrednią drogę wyjścia. Proponuje zredukowanie sezonu operowego do 6 miesięcy. Narazie nie da to wielkich oszczędności, bo trzeba będzie zemerytować znaczną liczbę pracowników, innym dać odprawę. Ale już w drugim roku wydatki będą poważnie zmniejszone. Przytem zaś dzisiejszy aparat operowy, tchnący biurokracją, rutyną i martwotą, zostanie obalony. Trzeba będzie stworzyć nowy organizm, oparty na innych podstawach i na świeżych siłach. W tej spodziewanej zmianie ustroju Opery tkwi pewna nadzieja na lepszą przyszłość.

Projekt tej reformy napotkał ostre sprzeciwy. Protestują wszyscy ci, którym grozi redukcja. Oczywiście, znajdują poparcie w prasie, — zwłaszcza w tych pismach, które złorzeczą stale zarządowi miasta, że na teatry łoży zbyt wysokie sumy.

Finanse miasta są opłakane. Czy w dobie dzisiejszej, gdy robi się oszczędności na zdrowiu i żołądkach dzieci i starców, na organizacji szpitalnej, na rzeczach najniezbędniejszych dla najszerszych warstw ludności, — można uważać to za błąd, że zarząd miasta szuka zmniejszenia wydatków tam, gdzie konieczność wydaje się wątpliwą? Dlaczegoż bowiem opera daje ogromne niedobory? Bo publiczność nie chce do niej chodzić. Zdarza się często, że na scenie jest więcej osób, niż na widowni. Czy opera jest nieodzowną dla rozwoju kulturalnego stolicy? Czytajcie recenzje z przedstawień operowych: przeważnie nazywane są występkami przeciw Sztuce. To znów obrońcy rozdzierają szaty: — Gdzież pójdzie ciało dyplomatyczne? Niech się o to martwi M. S. Z. Zabiegi nad tem ciałem do niego należą, nie do Magistratu. Dla magistratu ważniejszem jest, by dziatwa w przytułkach miejskich miała poddostatkiem mleka i chleba, by na lato mogła wyjechać na wieś.

Należy jednak przedewszystkiem zrobić dokładny rachunek. Byłby to nonsens, gdyby sześcio — — — miesięczny sezon miał kosztować tyleż, co dziesięcio — — — miesięczny. W takim razie lepiej byłoby zamknąć operę na pewien okres. Przyjdą lepsze czasy, będzie można stworzyć nową.

Zarzucacie Magistratowi, że nie potrafi prowadzić opery? Szukajcie lepszych kierowników. Znajdzicie przedsiębiorcę, któryby chciał wydzierżawić operę — lub wziąć ją w administrację poręczającą. Jeśli będzie przedstawiał należyte rękojmie moralne, artystyczne i finansowe, zarząd miasta z pewnością chętnie pójdzie mu na rękę.

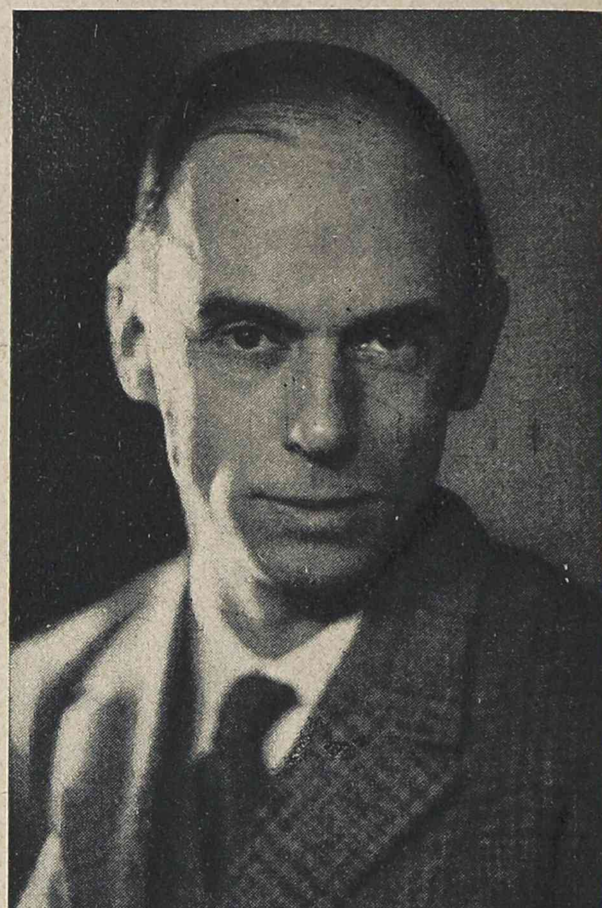
Ale nie dziwcie się, że zarząd miasta szuka drogi wyjścia. Jest to jego obowiązkiem.

Z FILHARMONJI



ADOLF GOLDFEDER, MŁODY, UZDOLNIONY PIANISTA GRAŁ NA KONCERCIE W FILHARMONJI POD DYREKCJĄ IGN. WAGHULTERA UTWORY BEETHOWENA I BRAMSA.

NACZELNY DYREKTOR MIĘDZYNARODOWEJ WYSTAWY KOMUNIKACJI W POZNANIU Fot. Jan Ryś



PROF. STEFAN BAR. ROPP, NACZELNY DYREKTOR MIĘDZYNARODOWEJ WYSTAWY KOMUNIKACJI I TURYSTYKI, KTÓRA ODBĘDZIE SIĘ W POZNANIU MIĘDZY 6.VII A 8.VII 1930

Symfonja dżungli brazylijskiej

W dżungli świta.

W chaotycznem stłoczeniu gąszczu rysują się już wyraźnie piony prostych bambusów, stojących w żołnierskim szyku i postawie, jakby na straży wielkiej armji potężnych, grubopiennych drzew.

Dżungla szemrze — żyje — gra swą odwieczną symfonję.

Liście, wiatrem ze snu obudzone, uderzają o siebie szmerliwem, przytłumionem zwiastowaniem dnia. Do wtóru odezwały się trelami ptaki. Rozkołysane gałęzie drzew przygłuszyły suchym trzaskiem szum liści, głos ptactwa zamarł na chwilę.

Allegro i andante dżungli.

A potem kojącą, pieściwą melodją menueta zaszumiało od nowa listowie. Ptaki, raz odważniej to znów *pianissimo* ciągną swą pieśń — hymn wyznania i pochwały życia, które jest miłością, i miłości, która jest życiem. Krzewy, szepcąc, schylają się we wdzięcznych lansadach w takt muzyki, dźwięczącej w wodach strumieni.

Dźwięki, słabe dotąd i jeszcze nieśmiałe, brzmią coraz wyraźniej i pewniej. Zewsząd, jakby rozbudzone echem, odzywają się stugłosy; coś zakwiliło i ryk się ozwał przytłumiony, coś zachichotało, a potem łkanie rozerwało przestwór i nagle dżungla, jakby zaczerpnąwszy w płuca powietrza, zabrzmiała tysiącem tonów, zlanych z sobą w jeden olbrzymi, potężny, grzmiący akord.



Janusz Makarczyk w Serra de Mar

Raptem ucichło.

Jakby odrętwienie padło na świat, taka zaległa martwota.

Ale symfonja dżungli finałem się nie kończy; nie ma kresu — jest wieczna.

Powoli odżywają na nowo dźwięki, przy akompanjamencie listnego poszumu w przeczystem brzmieniu scherza dżungli.

Świt w dzień przeszedł.

Słońce zatopiło wierzchołki drzew w lawie światła, złote promienie zaczęły się wsysać w gęstwinę, przenikać zwarte listowie, i rozświetliły wązką ścieżynę, wijącą się wśród labiryntu pra-wiecznych drzew.

W ciasnym korytarzu leśnej *picady* spotkało się dwóch konnych. Obaj podobni do siebie, obaj uzbrojeni, groźni. Gdy już się mieli zrównać ze sobą, jeden z nich woła:

— Si senhor.

Senhor si — odpowiada drugi.

Krótka ta wymiana zdań znaczy dosłownie:

Tak panie.

— Panie, tak.

To zwykłe pozdrowienie nieznajomych w dżungli. Spotkani przypadkiem, choć

się nigdy przedtem z sobą nie widzieli, choć nie zamienili jeszcze ani jednego słowa, zgadzają się ze sobą odrazu. Kurtuazja dla wszelkiej pewności i bezpieczeństwa.

Forma takiego przywitania byłaby niezrozumiała, gdyby nie okoliczność, że krew w żyłach gra i pieni się w gorącym klimacie inaczej, niż pod ołowianem niebem północy. Grzeczność jest tam już nietylko zwyczajem umilającym życie, ale często zabezpieczeniem, a nawet zagwarantowaniem życia.

— Tak panie, — zgadzam się z twojem zdaniem, nie chcę cię obrazić, ale nie pozwolę też obrazić siebie — wszystko to wyraża owo oryginalne pozdrowienie w dżungli, gdzie czasem nie słowo, ale nawet groźniejsze spojrzenie wystarcza, aby napotkany człowiek chwycił nóż lub pistolet i zabił, nie dla chęci mordu, ale dla uprzedzenia grożącego mu niebezpieczeństwa.

W dżungli brazylijskiej mieszka, kto chce. Niema tam ani policjanta, ani biur meldunkowych, ani sądu. Jest tylko twarde życie wśród bezpośredniej przyrody, groźnej, nielitościwej, pełnej niebezpieczeństw i zasadzek. Człowiek tam człowiekowi równy — czasem przyjazny i uczynny, a czasem wróg, przed którym nie obroni ani prawo, ani porządek cywilizowanego społeczeństwa, chroniący wolność, mienie i życie człowieka.

Warunki naturalne nie pozwalają Brazylji na ucywilizowanie całej przestrzeni państwa. Jakże żądać wzorowego porządku, ładu, czy praw w Stanach, gdzie przejść przez las dziewiczy niepodobna.

Kto nie słyszał w Brazylji o pułkowniku Fabricio, który, jak nasz Łaszcz, drwił z sądów i z nakazów prawa, a kiedyś, na czele swych capangów - bandytów najemnych, rekrutujących się przeważnie z Paragwaju, — wpadł do miasta, plik wyroków na siebie wrzucił przez okno do sali sądowej, wychłostał naczelnika policji i odjechał bezkarny, w siłę swą dufny?

Podobnych Fabriciu jest w głębi kraju setki. Każdy fazender, właściciel obszarów ziemi, jest na swoim terenie jakby udzielnym księciem, którego prawo obchodzi akurat tyle, co pusta butelka.

Policji jest na potrzeby kraju zbyt mało, problemat bezpieczeństwa w połaciach odległych, niedostępnych i niezamieszkałych jest bardzo trudny.

A przy tem wszystkiem procedura karna w Brazylji nie jest przystosowana do potrzeb i warunków kraju. Policja ma np. prawo aresztować mordercę tylko w przeciągu 24 godzin od chwili popełnienia zbrodni. Po upływie doby złoczyńca odpowiada z wolnej stopy, czyli, mówiąc realnie, nie odpowiada wcale, bo czmyha w las i powiększa kadry awanturników bez domu, o zapomnianem nazwisku, mieniących się „Rudym Josoem" albo „Kulawym Fernando".

Ludzie, żyjący za równikiem, inaczej się bawią, inaczej płaczą, pohopniejsi są do bijatyki a potem... cóż im pozostaje? Dżungla - matka. Niema już dla nich miejsca w cywilizowanych środowiskach.

Czasem wykolejeńcy zbierają się i napadają społem na spokojne wsie i osiedla. Gdy wybuchnie rewolucja stanowa, sprzedają swe siły i usługi temu lub owemu. Żyją i umierają zapomniani, czasem zostawiają po sobie długo przechodzącą z pokolenia w pokolenie legendę.

Teoretycznie każdy obywatel może wziąść na siebie funkcje policjanta; podejść do spotkanego draba, powiedzieć: *„pan jest aresztowany"* i odprowadzić delikwenta do najbliższego sądu. Trudność w tym wypadku spoczywa właśnie na technice odprowadzenia.

Awanturnicy osiedlają się, gdzie chcą. Nie pytają, czyja jest ziemia, którą obrali za swoje mieszkanie. Gdy towarzystwo kolonizacyjne zakupi tereny pod kolonizację, musi rozpocząć pracę od wykurzenia wędrownych *caboclі*. Najmuje w tym celu własne oddziały *capangów* i na rozległych przestrzeniach toczą się formalne bitwy. Niejeden trup pada w ofierze na bezdrożach.

Kto zna jedynie wykwintne Rio de Janeiro czy bogate Santos, nie uwierzy w to, co się dzieje w głębi kraju. Ale kto wnętrze kraju poznał, a chce żyć spokojnie, zawsze przywita mijanego jeźdźca słowami:

— Si senhor.

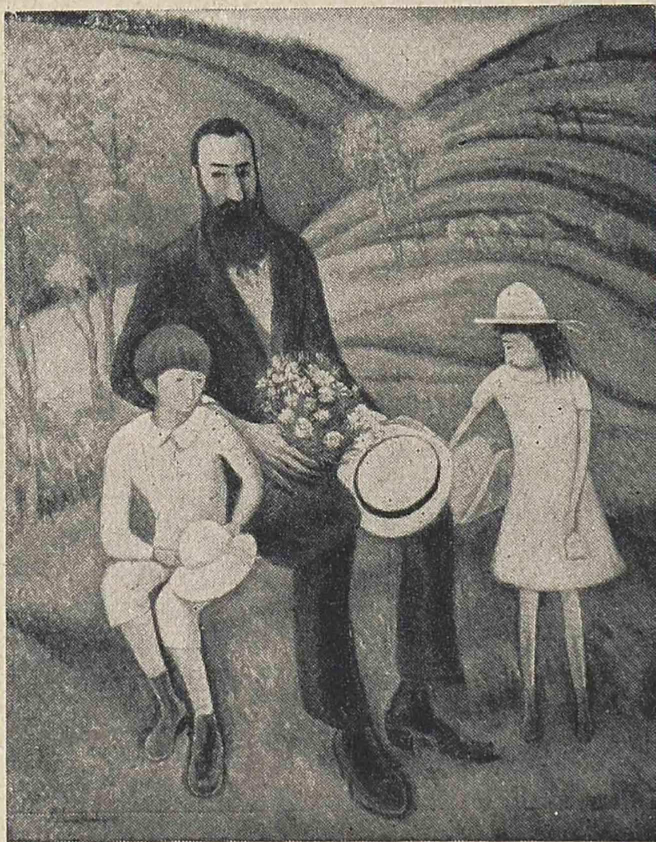
Janusz Makarczyk

Salon Niezależnych w Paryżu

Tegoroczny Salon Niezależnych w Paryżu, jakkolwiek nie odznacza się żadnemi nadzwyczajnemi dziełami, stał się głośny, dzięki usunięciu z wystawy dwóch obrazów na żądanie prefektury policji. Podobne wypadki zdarzają się dość rzadko. Chodziło o obraz Gastona Moreau, przedstawiający kalekę Wielkiej Wojny o twarzy straszliwie oszpeconej ranami.

Drugi obraz był namalowany na temat „Jour de Fête" (Dzień świąteczny). Malarz pewien, Rumun, nazwiskiem Florian, potraktował ów temat w sposób wielce oryginalny, przedstawiając samego siebie w stroju Adama i Ewy, lecz obutego i zajętego malowaniem. Obraz został uznany za obrażający dobre obyczaje. Na wystawie pozostało i tak dość nagich obrazów, a zatem albo je należało usunąć wszystkie, albo raczej pozostawić bez wyjątku, gdyż niewiele osób zauważyłoby zapewne ów „nieskromny" obraz, lecz wszyscy dowiedzieli się o jego istnieniu z opisu wypadku i w ten sposób stał on się znany.

Liga inwalidów francuskich zaprotestowała zresztą przeciwko usunięciu obrazu.



AR. LOCHAKOW. PORTRET

Naogół można powiedzieć o Salonie Niezależnych to samo, co i o tegorocznym Salonie Jesiennym: jest bardzo spokojny. Parę dziwaczniejszych płócien, właśnie owe „Jours de Fête", parę wspomnień zresztą bardzo nieśmiałych i dyskretnych o dawnych zuchwałych obrazach, ale pozatem nic przerażającego, ale też i nic nowego.

Więcej pejzaży naogół niż w Salonie Jesiennym. Dla objaśnienia tego problematu, mającego swe podłoże głębsze, niżby się zdawało, jeden z dzienników paryskich podał następujący żart, zaopatrzony w odpowiedni rysunek: Młody malarz oprowadza swego przyjaciela, czy znajomego, po Salonie Niezależnych. Ten ostatni zauważa zdziwiony: „Jakto? nie malujesz już pejzaży?" na co artysta odpowiada skromnie: „Nie. Dostałem mały spadek i mogę teraz pozwolić sobie na modele". A modelami są: kiełbasy, szynki, owoce etc.

Sporo ładnych efektów świetlnych na śniegu, mnóstwo mniej lub więcej udanych „sous-bois", dużo kwiatów, czasem bardzo ładnych, sporo zwierząt — między innemi jest olbrzymi tygrys, wcale nieestetycznie pożerający jakąś nieszczęsną niewiastę — trochę obrazów religijnych — z nich jeden krzyż zarysowany tylko jako cień, bardzo ładny i nastrojowy — portrety, między innemi portret Marszałka Foch'a, nieco sztywny, i mało kompozycji. Dział rzeźby zawiera rzeczy niektóre dosyć ciekawe, ale naogół nic bardzo śmiałego ani nowego.

Jest sporo dzieł artystów polskich, między innemi dwa bardzo dobre płótna Łempickiej i sporo dzieł cudzoziemców, szczególniej Rosjan. Wogóle gdyby nie iluzoryczne ogrzewanie sal, możnaby przepędzić w tegorocznym Salon des Indépendantes dosyć miło, choć bez wielkich wrażeń, parę godzin.

Dr. M. Kasterska



BAL WIOSENNY, URZĄDZONY STARANIEM KOŁA POLEK POD PROTEKTORATEM P. PREZYDENTOWEJ MOŚCICKIEJ W SALONACH RADY MIEJSKIEJ 14 MAJA. BAL UROZMAICONY POKAZEM TOALET Z TKANIN KRAJOWYCH. GRUPA PAŃ NAGRODZONYCH PRZEZ JURY I PLEBISCYT. OD LEWEJ PP. D-ROWA OLA ELEKTOROWICZOWA, RYŁKÓWNA, J. KIEWNARSKA (WELL), H. DOBROWOLSKA, ZDZISŁAWOWA KLESZCZYŃSKA, GIEYSZTORÓWNA, RZEWUSKA, SIEDZĄ: Z. RACZYŃSKA, ARCISZEWSKA-TERESZCZENKOWA

Perkale i Jedwabie

Ulubieńcem wszystkich kobiet w Polsce jest dzisiaj niewątpliwie pan Dewey. On stworzył modę „deweyoskich sukienek", tych prześlicznych sukienek tanich (tak tanich, że każda z nas może mieć bodaj pół tuzina letnich sukien z krajowych materjałów), on jednocześnie nauczył nas popierania przemysłu krajowego w tak miły sposób, za co jesteśmy mu wdzięczne, narówni z przemysłowcami łódzkimi.

Dotychczas tylko zagranicą noszono perkale. Od kilku lat najszykowniejsze Paryżanki ubierały się w nie w lecie. Na wsi, nad morzem, w miejscowościach kuracyjnych noszono przed obiadem najrozmaitsze „petite robe" z bawełny. Nam te materjały wydawały się za tanie, panie zmuszone do ubierania się skromnie wolały posiadać chociaż po... dwie suknie z crêpe-de-chinu, niż większą ilość perkalowych.

Dziś suknie z perkali, fularów, etamin, płócienek krajowych nosi się — to jest w dobrym tonie.

Oddawna moda nie była tak doskonale dopasowana do typu letnich sukienek z perkalu, jak w obecnym sezonie — i te same suknie nosi się zarówno w kretonie, jak i w jedwabiu, w etaminie i chiffonie, w krajowym fularze, surowym jedwabiu, flamendze, krawatynie, w popelinie i petite reine.

Fasony sukien nie są zbyt skomplikowane. Wymagają tylko bardzo dużo materjału i lekkości kroju. Klosze, plisy, zmarszczki, falbany są jednakowo modne. Spódnice przeważnie na karczkach — a karczki rozmaite: proste, szpiczaste, długie, krótkie. Niektóre karczki tworzą pierwszą falbanę, z pod innych falują się klosze, lub wychodzą głęboko zaszyte kontrafałdy. Paski w pasie, zakończone klamrą, kokardą, zapięte na guziki, lub przystebnowane do karczka. Staniki są prawdziwemi poematami. Powtarza się na nich często linja karczka, rękaw wszyty, przeważnie reglanowo. Rękaw długi lejkowaty, lub krótki, sięgający do łokcia (a od łokcia nosi się rękawiczki). Wykończenie przy otwartej czyi z organdyny, georgetty, piki, lub gdy materjał, z którego uszyto suknię, jest bardzo lekki — kokarda, związana z przodu, boku, przerzucona na plecy — z tego samego materjału. Ozdobą tych sukienek, zmieniających je w komplety, są pelerynki, kamizelki, bolerka, żakieciki, z tego samego materjału, oczywiście.

Letnie suknie wieczorowe wymagają znacznie więcej fantazji i materjału. Są długie — do ziemi. Na tej przestrzeni może się pomieścić i pięć falban kloszowych i setka maleńkich falbanek... Kolory delikatne: płatków róży, nieba, gdy nie jest zbyt niebieskie, bledziutko lila, zielone, srebrne. Do tych sukien jedwabne okrycia „trzy ćwierci" i to do pewnego stopnia kontrastujące z kolorem toalety. Do żółtych — ciemno - zielone, do jasno - zielonych — bronzowe, do różowych — wiśniowe, do szarych — szafirowe, do lila — fioletowe.

A teraz ostatni biuletyn mody z Paryża...

...bardzo dużo koloru granatowego i białego na ulicę: „petite robe" z tweedu, kanwy, wełnianej georgette, niewielki płaski kapelusz w tym samym kolorze, podbity piką.

...zamiast sportowego filcu klosik z materjału, lub słomy, przepasany wstążką gros grain.

...do kostjumu podróżnego lub sportowego bluzka wełniana na drutach, z barwnym krawatem.

...trzy rzędy pereł (niekoniecznie prawdziwych) z ładnem spięciem.

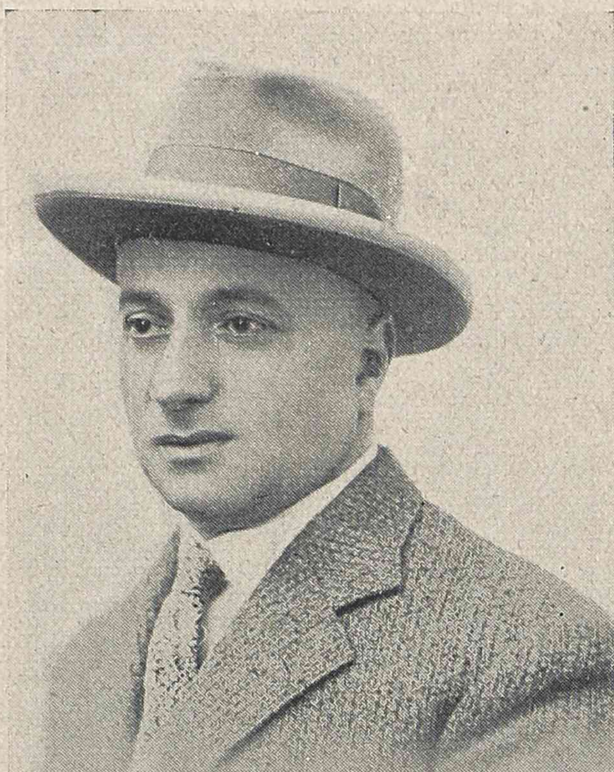
...po południu komplet z crêpe marocain, w ciemnych kolorach, z białą lub różową bluzką, lub kamizelką.

...włosy układające się w rulonik nie powinny wychodzić z pod dużego kapelusza, który nosi się po południu.

...po południu mała torebka z foki, pod kolor sukni.

...rano duńskie rękawiczki i pończochy „marron clair".

Al.



Henryk Markiewicz, dyrektor koncertów w sali Konserwatorjum, obchodzi szczególny jubileusz: tysiącznego koncertu. Udział wezmą znakomici wirtuozi: pianista Artur Rubinsztejn oraz fenomenalny skrzypek Paweł Kochański. Koncert odbędzie się w dn. 2 czerwca r. b. w Filharmonji Warszawskiej

Wśród książek

Zdzisław Grabski „Kryzys mieszkaniowy w Polsce"

Bibljoteka Polskiego T-wa Reformy Mieszkaniowej. Nakł. księgarni F. Hoesicka.

Na temat kryzysu mieszkaniowego napisano już wiele, jednakże literatura ta ma charakter przyczynkowy i związany ściśle z poszczególnemi fragmentami zagadnienia.

Każda więc praca analityczna w tej dziedzinie zasługuje na specjalną uwagę. Ostatnio wzbogaciła literaturę sprawy mieszkaniowej książka p. Zdzisława Grabskiego.

Jest to praca ściśle badawcza. Autor nie rzuca projektów, nie podaje żadnego lekarstwa na uzdrowienie fatalnej sytuacji, ale analizuje, spokojnie ocenia przejawy kryzysu mieszkaniowego oraz towarzyszących mu zjawisk i trafnie wnioskuje.

Część pierwsza książki charakteryzuje w wyczerpujący sposób stan kwestji mieszkaniowej w Polsce, przyczyny powstania kryzysu mieszkaniowego, oraz jego najbliższe skutki, rzucające głęboki cień na morale naszego życia w Państwie Odrodzonem.

Część druga omawia to wszystko, co uczyniono dotychczas dla zapobieżenia rozwojowi klęski, trudno bowiem nazwać dotychczasowe wysiłki zwalczaniem kryzysu.

Istnienie kryzysu ilościowego nie wyczerpuje zagadnienia, istnieje bowiem obok niego kryzys jakościowy, na który trafnie zwraca autor baczną uwagę. Jest to sprawa, obok której nie można przejść milcząco, aczkolwiek siłą rzeczy odsuwa się ona na plan dalszy.

Sumienne studja nad olbrzymim materjałem, bardzo starannie nota bene dobranym, doprowadzają p. Grabskiego do wniosku, że nie można znaleźć uniwersalnego środka zaradczego, nawet na drodze ustawodawczej.

Nagromadzone trudności dadzą się usunąć tylko w drodze odbudowy oszczędności, kapitałów prywatnych i stworzenia szeregu warunków sprzyjających rozwojowi budownictwa przez wzmocnienie zaufania do lokaty w niem kapitałów.

Cenną i interesującą swą pracę, wartościową przedewszystkiem ze względu na zawarty w niej objektywizm, kończy autor następującem zdaniem:

„Możność rozwiązania samego kryzysu nastąpi nie dzięki jakiejś nowej ustawie, czy takiemu lub innemu pomysłowi, lecz uzależniona jest od ogólnego dobrobytu całego społeczeństwa".

Nie znaczy to jednak, abyśmy w dzisiejszej sytuacji mieli założyć ręce i czekać, zwłaszcza, że dobrobyt jest w znacznej mierze uzależniony od szerokiego rozwoju budownictwa.

Wartoby to na marginesie omawianej pracy zanotować.

S. M.

CO CZYTAĆ?

„POLACY W PARYŻU, FLORENCJI I DREŹNIE" — „W NIEWOLI I W WERMACHCIE" — „ROTMISTRZ ANDRZEJ" — „PAŁAC ŁAZIENKOWSKI W WARSZAWIE"

Dola i niedola naszej emigracji ujawnia się coraz bardziej przez liczne pamiętniki, wspomnienia, listy. Ukazała się obecnie książka pt. „Polacy w Paryżu, Florencji i Dreźnie". Jest to zbiór wspomnień śp. Marji z Przeździeckich Walewskiej. Jako dziecko, panna, młoda mężatka, znajdowała się ona wśród ludzi, którzy w wieku ubiegłym działalnością swoją decydowali o polityce, kulturze, sztuce. Znała ludzi salonu ks. Czartoryskich w Paryżu. Utrzymywała osobiste stosunki z gen. Rybińskim, Lud. Wołowskim, Szemiothem, Gen. Bosakiem, Ant. Ed. Odyńcem. Egerje duchów wolnych, jak H. Kuczkowska, Marja Orpiszewska. Delfina Potocka, we wspomnieniach Walewskiej otrzymują plastyczny rysunek i realny koloryt. Któżby się spodziewał, że majestatyczna Delfina, umiłowana wielkiego Zygmunta, czarodziejka Słowackiego i Szopena, ręce miała brzydkie, odrażające. O jej skłonnościach łatwo zapalnych, jeżeli chodziło o urodziwego mężczyznę, wiedzieliśmy. P. Walewska podpatrzyła kobiecem okiem szczegół charakterystyczny: ręce! Czyżby one miały jaki związek z psychiką tej romantycznej muzy? Bardzo interesujący jest obraz pt. „Kilka słów o Teofilu Lenartowiczu". Autorka dała w nim charakterystykę żony „lirnika mazowieckiego", głośnej obecnie wskutek rewelacji Boy'a, panny Szymanowskiej, siostry żony Ad. Mickiewicza. Jej zagubiony, czy zniszczony pamiętnik dawał obraz stosunków rodzinnych w domu twórcy „Pana Tadeusza". Dużo miejsca poświęciła p. Lenartowiczowa, słynnej dziś Ksawerze Deubell...

„W niewoli i w wermachcie", pamiętnik p. K. Koźmińskiego, przenosi nas w epokę niedawną, a jakże już odległą! Jest on cenny, jako przyczynek do tych chwil ciężkich, tragicznych, gdy z pogromu naszych zaborców wyrastać poczęła coraz bujniej polska racja stanu. Spotykała się w 1914 r. z powszechną obojętnością, w r. 1918 stała się realna. W pamiętniku p. K. Koźmińskiego, oficera - beliniaka, bardzo ciekawe są wspomnienia „wermachtowe". Autor po rewolucji bolszewickiej przedostał się z powrotem do Warszawy i tu wstąpił do szkoły podchorążych wermachtu. Z jego słów dowiadujemy się, iż niemcy wyszkolenie prowadzili solidnie. Kto przeszedł przez ich szkołę, nabył wiedzy militarnej, stał się fachowcem. Politycznie był to krok fałszywy, przyznaje autor. Zawodowo jednak opłacił się, bo dał jaką taką kadrę oficerów i żołnierzy solidnie wyszkolonych.

P. Karol Koźmiński napisał też powieść obyczajową pt. „Rotmistrz Andrzej". Dla jednej dancingowej „Księżniczki" dwóch braci wpada w wilczy dół męskiej nieobliczalności. Kończy się to tragicznie dla wszystkich. Księżniczka pada ofiarą mordu. „Rotmistrz Andrzej" pójdzie do więzienia, a jego starszy brat Sewer, sympatyczny malarz, neurastenik, złamany na duchu, bierze na siebie grzechy.

„Pałac Łazienkowski w Warszawie", perła budownictwa w stolicy, po studjach prof. Wł. Tatarkiewicza, arch. L. Niemojewskiego, A. Lauterbacha nie przestaje zaciekawiać ludzi miłujących piękno architektrury i sztuki. Okazała się obecnie wartościową publikacją pióra p. Stanisława Dunin-Karwickiego, ex-kustosza, tego zabytku królewskich umiłowań architektonicznych. Jest to właściwie przewodnik. Ukazał się on najpierw po francusku p. t. „Le Château de Łazienki, apologie d'un Roi sans souci". Miłośnicy piękna w książce tej znajdą wiele cennego materjału informacyjnego, o pałacu, który jest jakby syntezą artystycznych umiłowań nieszczęśliwego króla Stanisława-Augusta.

E. C.

Książki nadesłane do Redakcji

Zygmunt Bartkiewicz: Trzy opowieści. Warszawa, 1930. Dom Książki Polskiej.
Radosław Krajewski: Światosłowie. Słowiański poemat o wszechświecie. Warszawa, 1930. Gebethner i Wolff.
Juljusz Pogon - Ślizowski: Plama na śniegu. Romans. Warszawa, 1930. Nakład „Kultpol".
Grzegorz Timofiejew: „Niema mnie w domu". Poezje. Warszawa, 1930. Wyd. „Meteor".
Andrzej Wolica: „Młoty w dłoniach". Poezje. Warszawa, 1920. Dom Książki Polskiej.
Konstanty Bzowski: „Jak uczyć o klimacie". Warszawa. „Książnica - Atlas".
P. Z. Dąbrowski: „Nauka o dziecku". Warszawa. „Książnica - Atlas".
H. Bordeaux: Miłość ucieka.
J. Curwood: Bari syn Szarej Wilczycy.
Szcz. Jeleński: O siódmej godzinie.
N. Laurentin: Miłość Poncjusza.
Wan. Miłaszewska: Cmentarz i sad.

Z CAŁEGO ŚWIATA



Kolejka powietrzna w Bawarji na górę Nebelhorn

Fot. New-York Times



Defilada młodzieży rumuńskiej przed młodocianym królem Michałem I. Na balkonie przy nim królowa-babka Marja i matka księżna Helena.



Francuz olbrzym: lat 27, waży 116 kilo, nosi but Nr. 63, nazywa się Achiles Beaucosse



Nowa sekta amerykańska baptystów, przyjmujących chrzest tylko w Jordanie. Na czele Kościoła stoi Mac Pherson

Jadw. i Jan. Przed opalaniem się należy twarz i ciało posmarować kremem „Salome", otrzymuje się równomierne i szybkie pociemnienie.

T. Z. M. Włosy do analizy należy nadesłać do „Kalotechniki", Marszałk. 116.

Dr. Z. K.

ZGON ZASŁUŻONEGO MALARZA



Dnia 22 bm. zmarł w Otwocku zasłużony artysta - malarz, profesor warszawskiej szkoły sztuk pięknych, ś. p. Edward Trojanowski. Wychował on całe zastępy młodych artystów, pracujących obecnie dla sztuki stosowanej. Otrzymał cały szereg nagród na konkursach, projektował wnętrzei sprzęty Teatru Polskiego. Jako malarz stalugowy pozostawił również wiele cennych obrazów, przeważnie pejzażów. Ś. p. Edward Trojanowski, pozostawił po sobie pamięć poważnego artysty i wielkiej prawości człowieka. Przedwczesna jego śmierć wywołała w szerokich kołach naszego społeczeństwa szczery żal

Z KALOTECHNIKI

Pani T. L. Włosy z warg i brody bezpowrotnie można usunąć jedynie zabiegami chir.-kosmet. na miejscu w zakładzie.

Pani O. R. Ang. płyn Bisare wzmacnia cebulki włosowe.

Stefie K. Brwi przyciemni fr. płyn „Souveil" albo „Pate de Dagmar".

Pani Zofji. Kurzajki, brodawki można usunąć tylko na miejscu u nas w zakładzie.

Piegowatej. Najlepiej usunie piegi fr. płyn „Petunia".

Irredentyzm Polski w r. 1813

Niemcy nie ustają w agitacji na rzecz rewizji swojej granicy wschodniej. Kładą w tę pracę duże środki materjalne, wysuwają coraz to nowe atuty gospodarcze, geograficzne, polityczne. Usiłowania te nie pozostają bez wpływu. Dyskusja nad „korytarzem" i ziemiami śląskiemi nie schodzi z forum międzynarodowego. Obecnie ukazał się artykuł pióra Emila Bourgeois, wybitnego historyka francuskiego w poważnym dwutygodniuku paryskim „Revue bleue" pt. „Irredentyzm polski w r. 1813 w Królestwie Pruskiem". Prof. Emil Bourgeois, opracowując w swojem seminarjum wraz z uczniami te czasy, zdobył niezmiernie ważki i charakterystyczny zbiór dokumentów. Pochodzą one ze źródła najbardziej autorytatywnego. Są to akta pruskiego sztabu generalnego.

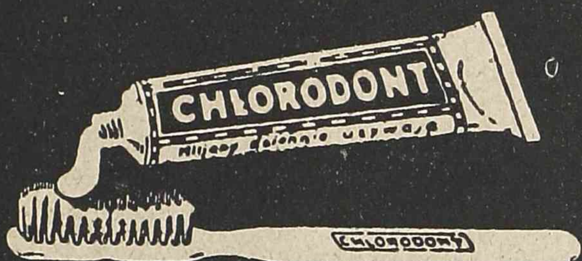
Dla francuzów są to swojego rodzaju odkrycia. Sztab generalny niemiecki stwierdza bowiem, że w r. 1813 nie mógł rekrutować ludzi na Śląsku i u dolnego biegu Wisły, gdyż byli to polacy. Nie chcieli dobrowolnie wojować przeciw Francji. Uchodzili do lasów. Prusacy przy pomocy kozaków robili obławy w powiatach pogranicznych i tropili uciekinierów. Wielu ukryło się w Gdańsku.

Generał pruski zanotował na wieczną rzeczy pamiątkę: „nietylko język różni tę większość mieszkańców, ale przedewszystkiem pragnienie Polski Niepodległej".

Akta pruskie zawierają podobne dokumenty i z lat 1848, 63. Statystyki wyborcze pruskie z przed roku 1914 zawierają również tę prawdę. Przypominamy ją, choć obecnie mamy do dyspozycji inne fakty. Ludność Śląska, pomorska sama wskazuje, gdzie jest jej ojczyzna.

W każdym razie przypominanie tego ważnego faktu w poważnej prasie francuskiej musimy powitać z uznaniem. Należy się ono zarówno p. Emilowi Bourgeois, jak i p. P. Gaultier, redaktorowi „Revue Bleu".

F.



UROCZYSTY OBCHÓD ZŁOTEGO JUBILEUSZU TOW. CZYTELŃ LUDOWYCH W POZNANIU, DN. 18 MAJA B. R.



SIEDZIBA TOW. CZYTELŃ LUDOWYCH W POZNANIU PRZY ULICY FR. RATAJCZAKA 16

HUMOR ZAGRANICZNY



— *Tak, mój drogi, na przyszły tydzień rozpoczynamy strajk?*

— *A dlaczego dziś nie poszedłeś do roboty?*

— *Wprawiam się.*

HUMOR ZAGRANICZNY

Jakaś dama zjawia się u malarza, ażeby obstalować portret.

— *Gwarantuje mi pan podobieństwo?*

— *Naturalnie!*

— *A na jak długo?*

*

— *Podobno brunetki mają więcej temperamentu od blondynek.*

— *Ja nie przekonałem się o tem. Moja żona była najpierw brunetką, a następnie blondynką i nie zauważyłem żadnej różnicy.*

*

PRENUMERATĘ „ŚWIATA" PRZYJMUJĄ:
W WARSZAWIE: Administracja „ŚWIATA"
SZPITALNA 12. Telef.: Administracji 504-00 i 501-51
Konto czekowe P. K. O. 3755
ORAZ WSZYSTKIE WIĘKSZE KSIĘGARNIE

W ŁODZI: Biuro dzienników i ogłoszeń „Promień", Piotrkowska 81. Księgarnia „Czytaj", Narutowicza 2. Księgarnia Ludwika Fiszera, ul. Piotrkowska 47. W KATOWICACH: Księgarnia Ludwika Fiszera, Poprzeczna 1. We LWOWIE: Oddział Tow. „Ruch". POZNAŃ: ul. Gwarna 16, Centrala Gazet L. Robowska. **CENY PRENUMERATY: w Warszawie** odbiór na miejscu miesięcznie 5.— zł., z odnoszeniem do domu 5.50 zł., na prowincji miesięcz. 6 — zł. kwartalnie 18.— zł. Zagranicą miesięcznie 8.—zł.

Cena numeru w Warszawie, na prowincji i na wszystkich dworcach kolejowych **1 zł. 40 gr.**

Redaktor odpowiedzialny *St. Krzywoszewski*

Druk. Galewski i Dau, Warszawa